Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 13 czerwca 1948 r. Nr 24 (153)

W NUMERZE
między innymi:

Jan Aleksander Król

W CZECHOSŁOWACJI (I)

TOWARZYSZ PACHNIAK

W Czechosłowacji — no cóż — ludzie jak ludzie, domy jak domy i kartofle jak kartofle. A szczególnie wożono mnie na oglądanie kartofli. Towarzystwo miałem pod tym względem wyspecjalizowane. Taki Pachniak z kieleckiego, zawołany agronom i socjolog niezgorszy (jeden z tych, którzy współpracowali przed wojną z prof. Chałasińskim przy opracowaniu ankiety „Młode pokolenie chłopów") ten żyłował naszych czeskich gospodarzy i informatorów. Wszczynał fachowe dyskusje poczem przechodził niepostrzeżenie do wykładu. Były to przepyszne sceny. Oglądaliśmy np. nasienną stację doświadczalną (produkcja super-elit buraka cukrowego), gdzie się krzyżuje najlepsze odmiany rentgenem i chemikaliami na protoplazmę, a on po obejrzeniu wciąga Czechów w dyskurs. Wychodziło więc na to, że u was owszem, pięknie - technicznie, ale posłuchajcie i nasi gospodarze słuchali z zainteresowaniem. Kiedy któregoś dnia wyczytałem w pęczniejącym notatniku Pachniaka zgoła nie fachową notatkę: „na wsi z większym entuzjazmem witają nas, niż Bułgarów", zrozumiałem i jego i moją „sprawę". Pachniak pojechał dobrze wiedząc, że zobaczy wyższą technikę produkcji rolniczej. A dlaczego gadał z inżynierami czeskimi tak, że wprawiał ich w podziw i osiągał u nich ten stan ożywienia, jaki się zjawia u ludzi, którzy choćby się wcale nie znali, przegadają noc całą?

Myślałem sobie w takich chwilach — tłumaczyć naszym gospodarzom dlaczego u nas i na dużych chłopskich parcelach nie doi się krów elektrycznymi dojarkami, dlaczego nie zlewa się pól z sieci rur napędem elektrycznym, dlaczego nawet u gburów poznańskich nie ma kompletów maszynowych, które tu u 40-hektarowca zajmują z pół placu Wolności, dlaczego 15 średniaków (7—10 ha) ma już traktor, a trzech ich (typowy początek spółki — bracia i szwagier) wszystkie mniejsze maszyny — a u nas jeszcze nie? Tłumaczyć te różnice historycznie, czy lepiej, kiedy Pachniak rozprawia z nimi tak, jakby za jego plecami, w kraju, z którego na chwilę przybył, wszystko właśnie co ogląda, również było? W takim „spotkaniu na moment" Pachniak rozwiązywał sprawę przyjaźni, opartej o wzajemne uznanie — wydaje mi się — doskonale.

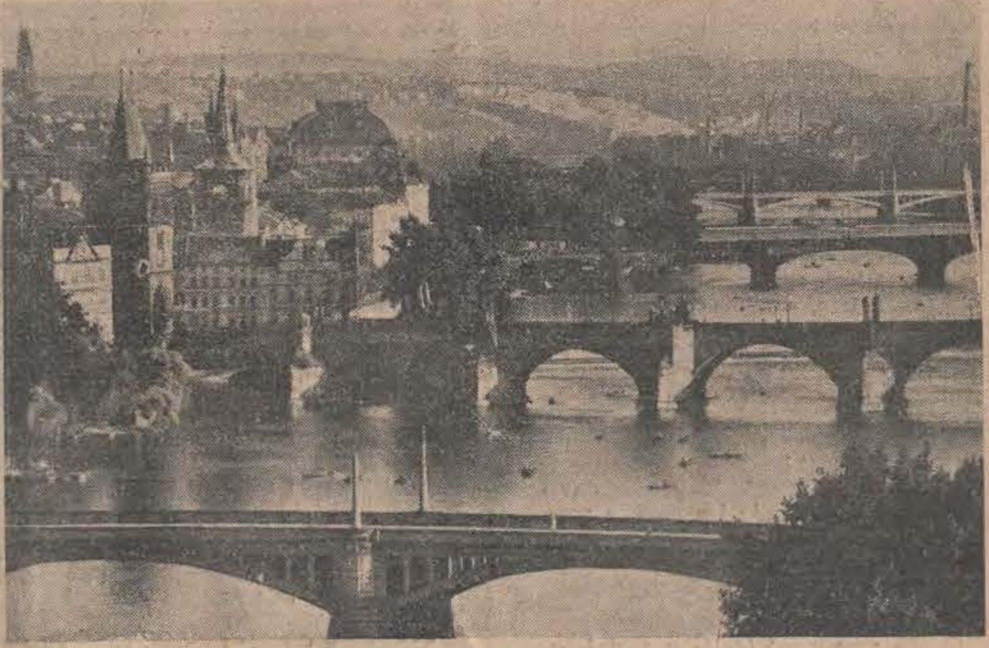
Myślałem sobie jeszcze wówczas o historycznej wycieczce „Zaraniarzy" z Malinowskim na czele. Było to blisko pół wieku temu. „Malinowski prowadząc wycieczkę chłopską do Czech, nie zrozumiał — jak pisze Ignar istoty rozwoju rolnictwa czeskiego. Zdawało mu się, że istotę stanowi racjonalizacja i spółdzielczość, podczas gdy racjonalizacja pracy w gospodarstwie rolnym i rozwój powszechny spółdzielczości możliwy był dopiero **pod wpływem rozwoju przemysłu i odludnienia wsi**".

Tamtej wycieczce towarzyszył wniebowzięty zachwyt. Demokracją nazwano w Czechach obraz, jaki wytwarzał już wówczas kapitalizm finansowy, mający za sobą poprawnie rozwinięte wszystkie kolejne niższe stadia. Na wsi czeskiej przechwycono te tendencje, które w świeżo powstałych stronnictwach — agrarnym i ludowym — miały ją przez lata jeszcze całe wiązać z ustrojem kapitalistycznym, każąc wierzyć w zasady „organicznego rozwoju" i skuteczność oportunistycznej polityki.

Otóż, Pachniak miał perspektywę, której brakło dawno temu Malinowskiemu. Odczytywał dorobek historyczny rolnictwa czeskiego z kapitalistycznego okresu. Oglądał obiekty, stacje i gospodarstwa wraz z ludźmi, którzy nimi kierują, a ci ludzie — wiedział o tym — stoją przed nową próbą. Wyższa technika jest dla nich i siłą i ciężarem. Ta technika bowiem rozwinęła się w stosunkach społecznych, jakie dziś chcą zmienić. „Przyrosła" — rzec by się chciało — do tamtych stosunków i tu tkwi trudność przemian. I tu gdzieś nacierał Pachniak. Miał rezerwę, jaką dały nasze porewolucyjne lata. Czasami, jakby dla dodania sobie pewności, podsumowując dane cyfrowe powtarzał nam: technika tu jest, ale produkcja przystanęła. U nas technicznie gorzej, ale chłopi nie próżnują. Z tego zdają sobie zresztą sprawę i Czesi.

Kiedyśmy zawadzili w Mielniku o szkołę powszechną, tam ni z tego ni z owego, zagadnął któregoś malca, a znasz ty historię o Lechu, Czechu i Rusie? Okazało się, że to wspólna legenda. Uczą o niej dzieci tak tam jak i u nas. Pachniak podumał, a potem powiedział: szkoda, że dalszego ciągu nie zna ani nasza ani wasza młodzież. A potem do mnie: Całe dzieje ciągnąć to za dużo, ale — zdaniem pana — odkąd co najmniej Lech i Czech winni o sobie wiedzieć dokładniej?

Takie pytanie już mnie nie mogło zaskoczyć — od początku wieku XIX! — odkrzyknąłem i pojechałem do Pragi... co prawda dopiero po paru dniach, ale z mocnym postanowieniem zanurzenia się w pyle bibliotecznym, który, co tu gadać, kryje pod sobą **dzieje**, a w nich tę zachwycającą ruchomość, jaka ukazuje, że czasy zmieniają ludzi, domy i uprawę kartofli także zmieniają.



Praga



Powitanie w Czechosłowacji

PIERWSZA POŁOWA XIX W.

Europa w końcu XVIII w. liczy 130 milionów ludności, w połowie XIX w. 260 milionów. Czechy — 2.800.000, w pięćdziesiąt lat potem — 4.300.000. W r. 1800 pracuje w Anglii 63 maszyn parowych. W Czechach w 1825 r. dopiero **pierwsze trzy.** Ale już w r. 1845 w samym przemyśle chemicznym działają 22 maszyny parowe. W włókiennictwie przędzenie zmechanizowano, w r. 1840 obraca się 450.000 wrzecion maszynowych. Tkanie pozostaje w tyle, jeszcze 75.000 ręcznych warsztatów z obsługą 100.000 ludzi, kiedy w Anglii już funkcjonuje 100.000 warsztatów mechanicznych. Różnice? Nawet kolosalne. Ale ważniejsze od różnic były podobieństwa. W drugiej połowie XVIII w. w samym lniarstwie chałupniczym zajętych jest 400.000 chłopów. Patenty Marii Teresy i Józefa II (1781) dają przewagę manufakturom. W jednym trzyleciu (1785—1788) manufaktury podwajają ilość produkcji w tkaniu i przędzeniu lnu, bawełny i wełny.

Nowe formy pomnażania dochodów wprowadza szlachta. W ślad za centralizowaniem włókiennictwa pcha do miast chłopów, zwolnionych od „glaebae adscripti", pcha kapitały do uruchomienia manufaktur. Po wojnach napoleońskich zmniejsza dwukrotnie produkcję zbożową, dwukrotnie powiększa hodowlę owiec i rusza na dużą skalę przemysł cukrowy. Ona pierwsza się „uprzemysławia". I u nas, w kraju, uprzemysławianie do połowy w. XIX było dziełem szlachty. W Kongresówce poczyna sobie dyktatorsko Lubecki. W latach 1815—1825 sprowadza 150.000 techników i majstrów niemieckich. Ta taktyka nie włącza ziemiaństwa. W Galicji dzieje się inaczej. Tu szlachta masowo hazarduje. Książka księdza Kaliniki o Galicji, wydana w r. 1850 daje bilans powszechnego i wielokierunkowego prosperowania przemysłowego szlachty polskiej.

Nie bez powodu też do roku 1840 wzrasta liczebnie ziemiaństwo w Czechosłowacji o 50%. Nie bez powodu patenty Józefińskie zmniejszają stan duchowny (klasztory i plebanie) o 40%. W tym samym 60-leciu (1780—1840) wzrasta ludność wiejska o 9%, podczas kiedy ogólny przyrost w kraju wyniósł 68%. Znaczy to, że — skromnie licząc — z jego podstawowej masy 2.500.000 w ciągu tych lat odeszło 60% — i kiedy na wsi w r. 1846 jest chłopów 2.800.000 (+9%) — to w miastach znajduje się już **milion pięćset tysięcy ludności** (36%). Zmniejsza się ilość kupców i rzemieślników. Narastają przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe. W dwójnasób powiększa się klasa tzw. ludzi luźnych. Są to chłopi nie utwierdzeni jeszcze w miastach, z cechowych stosunków wyparci rzemieślnicy i pierwowzór robotników niewykwalifikowanych.

Robotników przemysłowych (górnictwo, hutnictwo, maszyny, włókiennictwo), w roku 1825 liczyć można na 80.000, w r. 1841 na 160.000.

Jeszcze w pierwszym półwieczu przemysł metalowy, maszynowy i górnictwo nie przoduje. Wyrób żelaza (od r. 1799—1847) zwiększa się tylko o 1/3. Ale się już zaczyna... Szyny kolejowe, jako zapowiedź industrializacji nowoczesnej, nie szły wprawdzie z Anglii do Czech, ale przemysł maszynowy zakładali tu Anglicy i Francuzi. Kapitał, przedsiębiorstwa, organizacja! W roku 1841 jest tych ośrodków 18. Na początku wieku XIX drogi bite rozciągają się na 562 km. W roku 1843 sięgają już 3.300 km. Baron Rotschield w r. 1845 łączy Wiedeń poprzez Pragę z Boguminem koleją żelazną. W roku 1851 powstaje pierwsza fabryka wagonów.

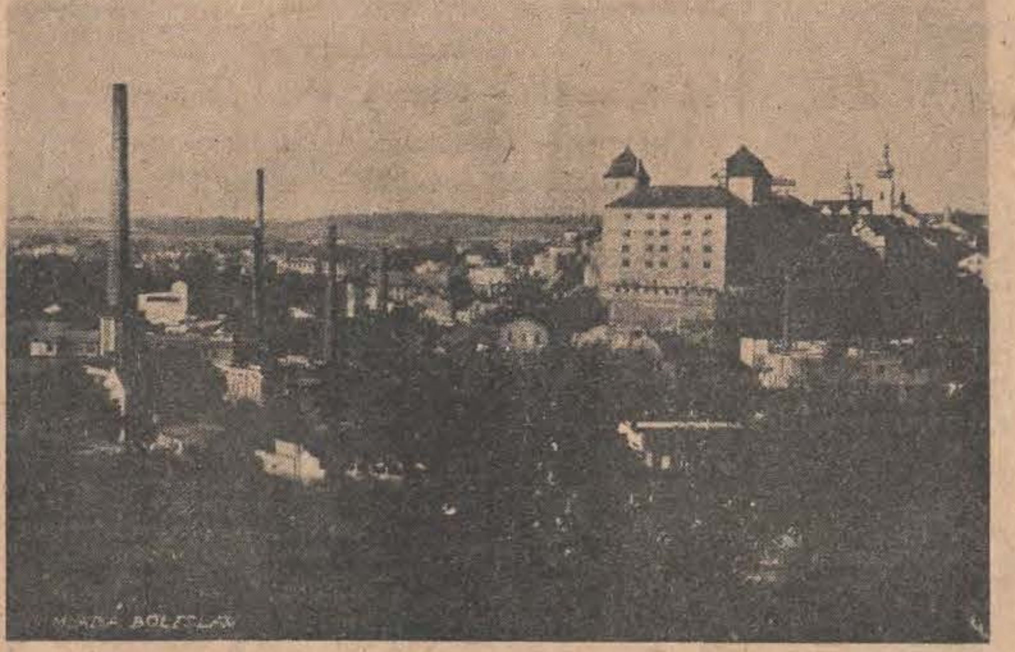
A chłopi — ci już u schyłku w. XVIII noszą „miejskie obleczenie", etnografowie nie mogą z tego powodu doszukać się pierwowzorów wiejskiego stroju czeskiego. Przepadł! Jak im się powodzi? Bardzo kiepsko. Postęp w rolnictwie jest, ale na wielkich majątkach. U chłopów zacznie się dopiero po „WIOŚNIE LUDÓW", po zniesieniu pańszczyzny, choć już w r. 1777 pojawia się pierwszy siewnik, w r. 1827 pług żelazny, potem kosa-młocarka. W r. 1776 pierwsza katedra wiedzy rolniczej. Wychodzi „Myśl Rolnicza", ale wszystko to służy jeszcze wyłącznie ziemiaństwu.

No i co dalej? Dalej mogło być różnie. Rewolucja 1848 r. miała dla Europy znaczenie przełomowe. Podzieliły ją i zaostrzyły **dwa różne rytmy rozwojowo-produkcyjne.** Rękami rewolucyjnego ludu roboczego wymiotła na zachodzie resztki feudalizmu, oczyściła drogę pod dalszy skok rozwojowy kapitalizmu. Na wschodzie (licząc od Łaby) zagadnienie się skomplikowało. Klęska czerwcowa rewolucji umocniła tam ziemiaństwo, biurokrację arystokratyczną, cienie monarchii. Koszta zapłacili nie wielkofolwarczni panowie, zapłacił chłop nie dostając ziemi narodowej w swoje ręce i nie mając dokąd pójść, w obliczu ugorem leżących miasteczek, w obliczu niedorozwijanego kapitalizmu.

Monarchii Austro - Węgierskiej nie można oceniać całościowo. Jej część węgierska, serbska, słowacka i galicyjska podzieliła los Europy wschodniej. Ale klin od Wiednia przez Pragę na Pilzno utrzymał się w rytmie Europy zachodniej.

POLSKIE REFLEKSJE

Przegrany u nas w kraju „pozytywizm" zostaje zastąpiony falą „narodowych nastrojów", z których wyłoni się Narodowa Demokracja. W ocenie roku 1905 Prus pozytywista będzie zgodny z endekiem Dmowskim. Ogniwa tego samego łańcucha? Niewątpliwie. Kapitalizm polski okresu pozytywizmu wytwarza tylko polskie drobnomieszczaństwo. Pułap wyższej koncentracji produkcji i kapitałów należy do obcej burżuazji, niemieckiej



12-tysięczne miasteczko Mlada Bolesiav



Wieś w Czechosłowacji

w największym procencie. Gdyby — załóżmy — pozytywizm dorobił się nie dających się na palcach policzyć Wokulskich, a całej ich klasy, polska burżuazja przetworzyłaby patriotyzm, dotąd szlachecki. Sięgnęłaby po wychowanie narodowe, przywłaszczyłaby sobie ideę „ojczyzny".

Przyjmijmy tezę skromniejszą — gdyby otwierały się szanse na dalszą pomyślną rywalizację z obcą burżuazją w kraju, drobnomieszczaństwo sięgnęłoby do arsenału narodowych idei. Nie spełniła się ani pierwsza ani druga teza, a mimo to powstała Narodowa Demokracja i wzrosła fala narodowej frondy. Tak bowiem zwycięstwo jak i klęska wobec kapitalizmu musiały acz różnie ożywić narodową świadomość. Obóz ziemiańsko-mieszczański Dmowskiego wskazał na nadbudowę zwycięskiego w autokratycznej masce Bismarckowskiej kapitalizmu niemieckiego — na jego **Kulturkampf**. To znalazło w społeczeństwie zrozumienie i wywołało pogotowie „ducha narodowego". Dmowski chciał to pogotowie z nadbudowy z powrotem sprowadzić do narodowej ekspansji kapitalistycznej, osadzając ją jako przyczółek industrialny u wylotu imperium carskiej Rosji.

Ostrze narodowej ideologii byłoby skierowane przeciw Niemcom, kapitalistyczny zaś dobrobyt polskiej burżuazji rósłby z wielkich przestrzeni rosyjskich, jako rynku zbytu. U podstaw tego rachunku tkwiły dwa błędy. 1) W ostatnich latach XIX w. rośnie przemysł w Rosji, wskutek czego dla przemysłu Kongresówki kurczy się rynek wschodni, a walka o niego wymaga zniżki cen eksportowych. 2) Nowy zryw kapitalistyczny, o jaki szło Dmowskiemu, miał do pokonania zwycięski obcy kapitalizm w kraju — produkcyjny i finansowy, właśnie przede wszystkim niemiecki, czyli filię tej centrali berlińskiej, która pozwalając na carski protekcjonizm przemysłowy w Rosji w całości panowała nad nim bankowo. W r. 1913 dwa największe banki narodowe rosyjskie były tylko „**wnuczkami**" banków niemieckich.

Drugi obóz pogotowia narodowego — szlachecki — mierzył w Rosję. I jak to widać z drogi Piłsudskiego z lat 1900—1920 ustawiał Polskę jako przyczółek imperializmu niemieckiego na wschód. Tu kapitalizm przyjmowany był z góry jako dysponująca siła z zewnątrz, własny miał być tamtej pochodną, dlatego ograniczony tylko do środowiska urzędniczo-ziemiańskiego, dysponującego mandatami na cudzoziemską eksploatację i obcinającego kupony od uczestnictwa w spółce akcyjnej „Drang nach Osten". Hitleryzm pokazał, że ziemiaństwu (sanacji) nie wyznaczał nawet (nie potrzebował) roli akcjonariusza tytularnego.

Po co te refleksje polskie? Nie bez kozery. Rozejrzyjmy się po latach 90-ych. U nas początek dopiero co opisanego procesu. Liga Narodowa i „Głos" odkrywający lud i ziemię, której niechże on nie da, skoro oddaliśmy wyższe źródła produkcji i dóbr narodowych. Ziemia i lud to symbole Ojczyzny, jedynej, jaka pozostała w narodowych rękach. I nie bez przyczyny pierwsi wszczynają tumult **esteci** — Konopnicka, Witkiewicz, Popławski, Pawlikowski. Bo z ziemi zostały — „**krajobrazy**", z ludu — **piękno archaicznej kultury**. I ziemia i lud bowiem poza tym aspektem należą do kapitalizmu, ich losy rozstrzygają się w części poprzez pośredników krajowych, w całości zaś w węzłowych punktach wyższej struktury europejskiego i światowego kapitalizmu, a więc poza ojczyzną.

W tym samym czasie w Czechach..

ETAP, JAKIEGO MYŚMY NIE MIELI

W tym samym czasie w Czechach wydobycie węgla wzrosło (w stosunku do lat 40-stych) 20 razy, produkcja żelaza — 4, stali — 5, cukru — 80, piwa — 3, import bawełny — 3 razy, wełny — 4. Robotników przemysłowych jest już około 800 tysięcy.

Cofnijmy się nieco wstecz. Historyczna data to rok 1869. Z rąk hr. Valdsteina, arystokraty, niemca, przejmuje wielką fabrykę maszyn czeski mieszczanin, Emil Skoda. Hrabiemu i niemcowi zachwiał się w rękach po dziesięciu latach kompleks fabryk ciężkiego przemysłu. Dlaczego?

Oto w r. 1848 jest jasne, że w przemyśle waży mieszczaństwo niemieckie, arystokracja cofa się już na pozycje ziemskie. W r. 1848 Czesi mają tylko drobne i pół-średnie mieszczaństwo. Robotnicy czescy biją się na ulicach Pragi o wyzwolenie narodu spod habsburskiego jarzma i o „prawa dla pracy". Jedno i drugie nie leży w planie mieszczaństwa czeskiego i szlachty. Polacky pisał: „Dla dobra Europy, nie można dopuścić, aby Wiedeń stał się miastem prowincjonalnym!" Wiedeń czy Berlin? Tak stoi sprawa dla mieszczaństwa. Rozbicie Austrii to spojenie niemieckiego (górującego) mieszczaństwa i szlachty (która nazywa siebie jeszcze „nicht deütsch, nicht tchechisch, aber echt **bömich** — miescową) z niemiecką rzeszą, to przegrana szansa w kapitalistycznej konkurencji dla półśredniego mieszczaństwa czeskiego. A barykadami robotniczymi w Pradze zostało ono przebudzone. Zryw narodowej świadomości — to ważny atut. Pod tym hasłem można rywalizować z niemiecką inicjatywą ekonomiczną. Przez ileż to potem lat będzie czeska burżuazja wygrywać w stronnictwie staro-Czechów, a potem częściowo u młodo-Czechów, nawet na skrzydle socjal-demokratów, w ludowym i agrarnym świętą sprawę solidaryzmu. Jak perfidnie będzie wyróżniać kapitalistę czeskiego od niemieckiego. Jak wmawiać robotnikowi miłość do swojego przedsiębiorcy. Jak grozić i straszyć — jeśli będzie żądał wyższej płacy i wznawiał strajki — upadną czeskie fabryki, robotnik straci pracę, gospodarka narodowa przejdzie we władanie niemieckie a wówczas:..

Polacky przeliczył się. Austria nie przyjęła projektu federacji z Czechami. Punkt ciężkości padł na Węgry. Ale izolacja od Rzeszy niemieckiej i praktycznie biorąc, nawet arystokratyczno-ziemiański trójgłos węgiersko-austriacko-galicyjski dały czeskiemu mieszczaństwu szanse na dorobienie się własnej burżuazji.

Skoda obejmujący po hr. Valdsteinie zakłady ciężkiego przemysłu to zwycięstwo **czeskiej burżuazji** nad niemiecką, to zarazem **jej powstanie**. Przypominam — rok pański 1869. U nas zaczyna się pozytywizm. Subieckci od Minclów próbują podskoczyć. Oglądamy manewry raczej handlowe niż przemysłowe. Ale zaczęliśmy od lat... 90-tych. Wróćmy do nich. U nas wówczas koniec „polskiego kapitalizmu". Jest też po wybuchu rewolucyjnym „Proletariatu" — grają teraz surmy do narodowej solidarności: w ludzie wybawienie, w tradycji sarmackiej siła, wrogiem — Niemcy, wrogiem — Rosja.

A jest to przecież okres koncentracji przemysłu i kapitału. W kraju, u nas, zacieśnia się w kręgu „cudzoziemców", w Czechach w kręgu rodzimej burżuazji. Bo lata 70-te to właśnie rozrost liczebny fabryk, przedsiębiorstw, spółek akcyjnych, banków. Dla przykładu: między r. 1867 a 74 powstało 1065 nowych akcyjnych spółek, wśród których 443 banków płaciło 80% dywidendy, od r. 1858 do 71 liczba cukrowni podniosła się z 48 na 175. Ale kiedy w r. 1873 było spółek akcyjnych przemysłu metalowego 250, w r. 1892 tylko 123. Ilość przedsiębiorstw górniczych spadła w latach 1870—1889 z 384 na 187, w tym samym czasie ilość górników wzrosła 3-krotnie, a wydobycie węgla 7-miokrotnie. Podobnie w kopalnictwie rudy żelaza z 33 przedsiębiorstw na 18, gdy produkcja wzrosła dwukrotnie. W tym samym czasie latyfundia pańskie zajmują więcej niż 1/4 kraju. Ks. Schwarzenberg posiada 177.000 ha, co się równało 1/30 części Czech. Na 85% posiadających ziemię przypadało jej 16,6%. Koncentracja ziemi przebiega w latach 70 — 90. Wtedy to dochodzi do emigracji chłopstwa czeskiego, nie przekroczyła ona jednak więcej niż pół miliona ludzi. I kończy się na r. 1890, kiedy u nas dopiero zaczyna się na dobre i trwać będzie 30 lat (dopóki Niemcy, Francja i Ameryka nie zamknęły wrót przed emigracją osiedleńczą) a zabierze z kraju kilka milionów chłopów.

Pełny obraz czeskich lat 90-tych wymaga jeszcze jednego zestawienia cyfrowego. Rolnictwo? Przemysł? Jaki stosunek liczbowy ludności pracującej? **W rolnictwie 45%**, w **przemyśle 47%**. Przyczem 45% w rolnictwie nie oznacza wcale chłopów. Chłopów jest o 5% mniej. Stanowią oni tylko 40% ludności kraju, 2 miliony 300 tysięcy na 5 mil. 800 tys. wszystkich mieszkańców.

SZKODA MI SKODY

Jeżeli wielka własność (2,5%) zajmowała (w r. 1890) 1/4 kraju i jeżeli na 86% gospodarstw przypadało 16,6% ziemi, wynika z tego, że 12% pozostałych — wielkochłopskich gospodarstw zagrabiło ponad 50% ziemi. 12% to znaczy 250 tysięcy na połowie kraju wobec około 2 milionów na 1/6 kraju.

To też suma hipotecznych długów rolnych od r. 1868 do 1902 wyrosła na 1 miliard zł. A wszystkie razem do kupy banki pożyczkowo-rolnicze, które tak pięknie rozkwitły (1031) od lat 60-tch, dysponowały w r. 1893 wkładami na sumę tylko 254 milionów zł., w tym samym czasie sprzedano z licytacji 152.000 gospodarstw za 305 mil. zł.

Do r. 1925 długi hipoteczne wsi czeskiej podniosły się na 3 miliardy, w r. 1932 — na 5 miliardów.

W r. 1930 chłopi stanowią tylko 24% całej ludności kraju (milion sześćset tysięcy na wsi, 5 milionów 500 tys. w miastach).

Brak mi statystyki przemysłowej z lat 1930-tych. Zawróćmy tedy do r. 1913. Od lat 90-tych zeszłego stulecia upłynęło nowych 20. Produkcja węgla podwoiła się, żelaza zwiększyła 5 razy, stali — 20 razy, cukru — 2 razy, import bawełny blisko 3 razy, wełny — 2 razy. Robotników przemysłowych półtora miliona (licząc na rodzinę 3 osoby — 4 i pół miliona ludności).

Kiedy chłop czeski w 1848 zużywał na własne potrzeby 2/3 produkcji rolnej, a sprzedawał 1/3, do lat międzywojennych stosunek ten uległ pełnemu odwróceniu. A wydajność rolnictwa z ha wzrosła w pszenicy i życie dwukrotnie, w kartoflach sześciokrotnie, w burakach cukrowych 40 razy.

Przemysł sięgnął w rolnictwo głęboko — żniwiarki, lokomobile, benzynowe i elektryczne motory, nawozy sztuczne. W USA przed wojną wypadało na każdego robotnika przemysłowego 5 HP, w Czechach 2,5 HP, w rolnictwie 1/4 HP (arytmetycznie).

W rzeczywistości rozkład siły mechanicznej dawał inny społecznie obraz. 1 traktor wypadał na dziesięć tysięcy gospodarstw poniżej 10 ha, i 1 traktor na co 2-gie gospodarstwo 50 hektarowe. Na gospodarstwach kułackich (20% gospodarstw chłopskich) pracowało 86 tys. HP, półtora miliona małorolnych stać było tylko na 2 tys. HP.

Od lat 90-tych ludność rolnicza spada z 40% na 24%, a długi hipoteczne mimo to wzrastają z 1-go miliarda na 5,5. Cisną one biedotę wiejską, ale wskazują i na to, że dotykają coraz silniej również kułaków. Chłopska drobnokapitalistyczna koncentracja ziemi prosperity już nie daje. O wiele powyżej zwierają się przecież kartele i trusty, a na tym piętrze w latach międzywojennych kapitalizm daje jeszcze dufną pomyślność, poniżej sieje już tylko panikę i rosnącą niepewność jutra.

Warto przyjrzeć się drzewu genealogicznemu firmy Skoda. Trochę ono inaczej wygląda, niż szlacheckie. Nie ujrzymy tu dobrze urodzonych przodków, bo i skądże u tego mieszczucha. I nie może nami kierować zasadu „włażenia w korzenie" jak w heraldyce szlacheckiej, gdzie im dalej w głąb **tym świetniejsza... przeszłość**. W tej genealogii jest odwrotnie. Przeszłość na tyle tu ważna na ile jej nie jest. Ona musi stać się teraźniejszością, spłynąć w nią siecią rzek złotodajnych. I widać, jak w pokoleniu dziadka Emila Skody, który pewnie był chłopem pańszczyźnianym już dla sławy rodu Skodów pracuje w ostatnim ćwierćwieczu XVIII wieku baron Ringhoffer. Jak w początku XIX wieku podejmuje to samo dzieło hr. Thomasove, jak za życia Emila Skody konkuruje z nim hr. Bromovsky, nie wiedząc, że też dla chwały Skodów pracuje. Thomasove'a połknął Ruston, Bromovsky'ego Schultz, ich wszystkich połknęli Ringhofferowie, a wnuk Emila Skody, pierwszego bourgeois czeskiego, połknął w roku 1914 wszystkich razem Rustonów, Thomasovych, Schultzów, Bromovskych i Ringhofferów.

Ale mimo tego wspaniałego zwycięstwa, szkoda mi Skody. Bo i na niego przyszła kreska.

(C. d. n.)

Jan Aleksander Król



Biegunowe koło magnetyczne z lanej uszlachetnionej stali.

Leonard Sobierajski

Ucieczka z krainy Lambertów? *)



Paweł Hertz

1) CZY WIESZ SKĄD MÓJ RÓD?

Przypuszczam, że dla czytelnika, który chciałby zarejestrować tom prozy Hertza w jakimś szeregu znanych mu dzieł literackich, nastręczą się poważne trudności. Posłużenie się na przykład przez autora formą fikcyjnego pamiętnika nie wyznacza jeszcze książce jej gatunku literackiego, bo forma ta nabiera u autora specyficznej funkcji, w danym wypadku jest wygodnym dla pisarza chwytem, pozwalającym mu łatwiej rozegrać sprawę, z którą pora się nasza literatura powojenna. Sprawą tą jest **rozładowanie kompleksu inteligenta.** Rozbita nowym porządkiem wczorajsza struktura społeczno-kulturalna przekazała nam cały szereg odmian inteligenta; modele ich kształtowały się w strukturze liberalno-kapitalistycznej. Przezwyciężenie do dzisiaj pokutujących jeszcze wzorów, które zrodził miniony system życiowy jest pierwszorzędną dla nowej kultury sprawą. Literatura oddaje tu cenne usługi. „Sedan" Hertza moglibyśmy właśnie rozpatrywać w tej funkcji.

Autor dokonuje w swoim utworze jakby generalnej spowiedzi socjologicznej naszej burżuazji przemysłowej. Dla tych celów stwarza bohatera, który będzie już ostatnim ogniwem w krzywej wzrostu i degradacji naszego mieszczaństwa. Epoka tego mieszczaństwa zamyka się według autora latami 1863—1939. Nową pozycję dla rodu Lambertów buduje pradziad bohatera Mateusz, który swoim sukcesem ilustruje gwałtowny skok mieszczaństwa w Królestwie w latach siedemdziesiątych. Rozpoczyna swoją karierę od niewielkiego warsztatu tkackiego w Łodzi, synowi przekazuje już duże przemysłowe zakłady. Diagram rodu wykreślają ogólne stosunki gospodarcze. Pokolenie z lat osiemdziesiątych pomnoży fortunę Lambertów, ich kapitały biorą żywy udział w rozbudowie dróg kolejowych Królestwa, dopomagają do uprzemysłowienia rolnictwa (cukrownie). Lambertowie w pierwszej swojej fazie spełniają rolę, jaką czas na nich nakłada, przyczyniają się w skali naszego rodzimego kapitalizmu do przestrojenia cywilizacyjnego kraju. Ród rozgałęzia się, utrzymuje nadal w swoim ręku fabryki, starając się równocześnie o umocnienie swojej pozycji społeczno-towarzyskiej; monopol na najwyższą pozycję w społeczeństwie ma ciągle jeszcze ziemiaństwo, stąd snobowanie się Lambertów na posiadłość ziemską. Wiek XX zahamuje ten rozkwit mieszczańskiego rodu, jego linia posuwająca się dotychczas w górę zacznie opadać. W latach międzywojennych Lambertowie odczują, że ich kombatancka rola się kończy, będą spychani na coraz niższe, bo luźniej związane z produkcją pozycje przez kapitał finansowy, znajdą się w końcu w sytuacji rentierów, pole do indywidualnego działania gospodarczego będzie dla nich coraz węższe. W taką już sytuację wejdzie na parę lat przed wojną dorastający Adam Lambert, w sam raz by przyjrzeć się schyłkowi swojej klasy. Nie garnie on się do żadnego udziału w pracy produkcyjnej, renta Lambertów pozwala mu grać rolę „hedonistycznego konsumenta europejskiej kultury". Ród otrzymuje w nim swoją „nadbudowę kulturalną". Cykl więc jest zamknięty: otwiera się „heroicznym mieszczaninem", który nic nie wiedział o warszawskich pozytywistach, ale świetnie wypełnił ich hasło pracy organicznej, a kończy na estetyzującym, nie wiedzącym co z sobą począć „pięknoduchu".

Adam Lambert ucieka od wszelkiej praktyki życiowej, na razie ma od rodziny mandat na ujmowanie świata w kategoriach człowieka „dobrze wychowanego", jak dotychczas rację swego życia upatruje w przeżywaniu sztuki i krajobrazów. Historia jednak na niego napiera, nie bardzo ją rozumie, ale jako typowy dla swoich czasów burżuazyjny inteligent posiada przecież intuicję, ma więc aprioryczne poczucie nadchodzącej katastrofy, zapewnia nas nadto, że „pilnie obserwuje dookolne zjawiska i skrupulatnie podpatruje świat". Musimy mu wierzyć na słowo, bo rezultatów tych obserwacji na bohaterze nie widać. Tu oczywista autor jest konsekwentny, utrzymuje bohatera w zakreślonym modelu. Zachodzące w Adamie procesy intelektualne nie mają żadnego praktycznego odniesienia, myśl jego jakoś rejestruje fakty, ale w sposób „szlachetnie" bezinteresowny, tak jak „arystokratycznie" bezinteresowne są jego przeżycia przed obrazami włoskich czy flamandzkich malarzy. Dla młodego Lamberta cennny jest sam akt poznania. Potwierdza nam to scena w wiedeńskim sanatorium. Bohater dochodzi tu do wniosku, że odkrył źródło swojej klęski, przekonał się mianowicie, że między nim a światem nie ma żadnych związków, z toczących się procesów wyeliminował go jego system życia. Adam czuje się jednak po takim stwierdzeniu w porządku, wystarczy mu zdanie sobie sprawy z faktu. Odpowiedzialność ponosi system, on sam jest jak ślimak z domkiem na grzbiecie, z systemu zaś może go tylko uwolnić historia, ona rozbije skorupę, w której zamknęła go ówczesna struktura społeczna; tak więc bohater wprowadza w własny system postępowania tołstojowskie „niesprzeciwianie się złu". Nie potrzeba dodawać że jest to chwyt Tartuffe'a.

Adam w swoich europejskich podróżach staje oko w oko z historią, podczas pobytu w Wiedniu przeżywa „Anschluss", rok 39 spędza w Paryżu, tu spotyka go Monachium. W tych właśnie sytuacjach widzimy go w zestawieniu z jednym z ostatnich „praktyków" rodu Lambertów — stryjem Hieronimem. Obaj nabierają pewności, że ich mieszczański świat się kończy, choć różnie na to reagują. Hieronim ratuje resztki fortuny, dla niego „Anschluss" czy Monachium to przede wszystkim konieczność zlikwidowania interesów w krajach, gdzie zagrożony jest sprzyjający jego fortunie i rodowi system liberalno-kapitalistyczny, który jemu Hieronimowi pozwala dobrze zjeść, wykwintnie się ubrać i korzystać z godziwych wielkomieszczańskich rozrywek. Dla Adama te wypadki to przede wszystkim zwężanie się przestrzeni, na której swobodnie mógłby smakować kulturę, monachijska zgoda na faszyzację Europy to tyle co obawa, że salony mieszczańskie przestaną już funkcjonować w Europie. Narastająca w jego świadomości „sprawa ludzka" to nic więcej ponad współczucie ludziom z jego kręgu towarzyskiego, którzy już są pozbawieni tych wartości, których on będzie pozbawiony jutro.

WYBRONIĆ MIESZCZAŃSKIEGO INTELIGENTA?

Powiedziałem na wstępie, że u podstaw książki Hertza leży nierozstrzygnięta na płaszczyźnie literackiej sprawa **kompleksu inteligenta**, którego zrodziło wielkie mieszczaństwo i który chciałby wpasować się w nową rzeczywistość społeczną. Rozładowania tego kompleksu można dokonać drogą dokładnej analizy poznawczej. Autor probuje podjąć się tej roboty. Ma do dyspozycji subtelne narzędzia — marksistowską metodę dialektycznego rozumienia dziejów, ma bogaty materiał do obróbki: z własnych doświadczeń społecznych znajomość sfer burżuazyjnych, przeobfitą literaturę, dającą wspaniałe panoramy mieszczaństwa angielskiego (Saga rodu Forsyte'ów), niemieckiego (Budenbrockowie), czy francuskiego (Balzac, Flaubert, Proust), ma wreszcie dużą pomoc w toczącej się dyskusji krytyczno-literackiej nad problemem właściwego rozumienia realizmu literackiego.

W powieści można w dwojaki sposób wyrażać stosunek do przedstawianej rzeczywistości, tak wybierać i zestawiać zdarzenia, sytuacje, by miały one swoją ostrą wymowę dla czytelnika, by nie wymagały dodatkowych odautorskich wyjaśnień, bądź można wprowadzić komentarz, który wciąga czytelnika do wspólnego jakby z autorem rozpatrzenia i zinterpretowania przedstawionych zdarzeń. Hertz **bazuje na komentarzu**, jako narzędziu służącym do **wyjaśnienia wprost;** mało znajdziemy w jego książce elementu opisowego, czym to łumaczyć? Czy tym, że pełnych obrazów z życia „wyższych sfer" mamy mnóstwo i to znakomitych i że te właśnie dzieła przyjął autor jako przesłanki dla końcowego wyniku, jakim jest przecież Adam Lambert — ostatni produkt warstwy burżuazyjnej? Produkt, który należy według Hertza uratować by użyć go w nowych funkcjach. Tu właśnie rozpoczyna się sprawa. Przypatrzmy się obronie Lamberta.

Adam Lambert w opowiadaniu „Sedan" mówi o sobie: „Byłem smutnym dzieckiem swojego czasu, **rosłem sam pełen pogardy dla ludzkich spraw moich rodziców**". Od tego wyznania możemy rozpocząć nasz przewód sądowy. Jakie są właściwe powody, które skłaniają bohatera do odwrócenia się od swojej kapitalistycznej rodziny? Oddajemy głos Lambertowi: „Lubiłem bardzo inicjały na rzeczach użytkowych, stwierdzałem w ten sposób, że jestem ich posiadaczem. Skłonność owa nie rozciągała się jednak na obiekty większe, **na ziemię albo domy.** Te bowiem przywiązywały do miejsca, krępowały swobodę ruchu i postanowień, wreszcie wymagały **umiejętnej administracji, jakiej im zapewnić nie byłem w stanie.** Jak widać z tego instynkt posiadania, tak pięknie rozwinięty w stryju Hieronimie, **uległ we mnie procesowi degenaracji**".

Stwierdzamy więc, że zatraca się w bohaterze instynkt posiadania, ponadto zdolność do podjęcia jakichkolwiek funkcji produkcyjnych, które spełnia jeszcze jego klasa. Adama wstrząsa dreszczyk niesmaku, gdy widzi, że „leitmotiwem" rodzinnych rozmów są słowa: „Giełda, domy"; na pewno pobłażliwie się uśmiecha, gdy znawstwo sztuki u Hieronima będzie obracało się w kręgu muzyczki Offenbacha.

Młode pokolenie nie ma już wspólnego języka z ostatnimi „praktykami" systemu kapitalistycznego. Starsi zajmują się jeszcze i tylko interesami, młodzi zaś już tylko sztuką **dla wzbogacenia osobowości.** Ostatni potomkowie burżuazji będą już oceniali swoich ojców z płaszczyzny ludzi wtajemniczonych w wartości „nadbudowy kulturalnej" i to nadbudowy stworzonej przez obce zachodnio-europejskie stosunki społeczno-gospodarcze, zapominając przy tym, że tamci bądź co bądź tworzą nadal w ramach dla siebie skonstruowanego systemu gwarancje ekonomiczne, by wydzielona część ich rodzin mogła uczestniczyć w kulturze, jaką historia dotąd wytworzyła.

Rozluźnienie więzi rodzinnej u Adama dlatego ma tu wzmocnione powody — w brzydocie secesyjnych salonów rodzimych, w komunikatywnym tylko języku jego ojca, w podrabianych gestach wuja Romana. Tego wszystkiego nie znosi estetyczna dusza młodego Lamberta, nawet w kontaktach z rodziną możliwie i celowo ograniczonych. Gdy w pierwszych dniach wojny znajdzie się w Stradeczu u jednej z gałęzi rodu, „grającej rolę klasy ziemiańskiej", gdzie wuj Roman podszywa się pod wzory ziemiańsko-sanacyjne, małpując „staropolską gościnność", ziemiańską dworność i pułkownikowską „byczość", — dojrzeje w nim **idea ucieczki.**

Lambert przeżywałby „torsje duchowe", gdyby musiał dłużej obracać się pośród ujawnionej nagle tak obfitej brzydoty ludzi swojej sfery. Dla Adama to jest „zła kompania", w której wszyscy po kolei demaskują się, jako ludzie ordynarni, nie z gatunku na jego miarę — „dobrze wychowanych", „uroczo wytwornych".

Takie są w skrócie powody wyobcowania się Lamberta z własnej klasy, jest to droga **estetycznego odejścia od „niesprawiedliwych".**

Ale motywacja autora jest inna. W zakończeniu opowiadania „Ucieczka z krainy Lambertów" Hertz pisze: „Żegnać, opuszczać skazanych przez historię, opuszczać ich w chwili decydującej, w chwili, gdy los ich jest przesądzony, a nasz wybór może być jeszcze dokonany — to nie zawsze jest tchórzostwo lub zdrada. Często łatwiej bywa zginąć wspólnie niż zdecydować się na ocalenie samemu. Tym razem zwyciężyło we mnie przekonanie o niesłuszności sprawy Lambertów, o bezcelowości dalszej ich gry na scenie świata, choć sam w tej grze brałem przecież udział".

Czy moment wyboru był aktem swobodnej woli i czy sprowadza się do pytania — co łatwiej? Chodzi chyba o co innego — o stopień konieczności podjęcia takiego właśnie kroku, o gest uwarunkowany obiektywnie wcześniejszą linią Lamberta. Cóż go z klasą burżuazji przemysłowej wiązało? Kulturowo już nic, ale **pozostawała więź ekonomiczna.** Adam zdawał sobie sprawę z faktu, że baza materialna rodu coraz bardziej się kurczy, fabryki Lambertów przechodzą w ręce silniejszego kapitału zagranicznego, tu jest źródło jego skoku w europejską kulturalność. Odwróci on się od systemu wychowania, jaki wypracowało nasze mieszczaństwo przemysłowe, bo system ten nie wyprowadzi go już na żadne ważne pozycje; znikły bodźce, które w jego przodkach wyrabiały „hanzeatycki instynkt realizmu", wyrabiały, bo ciągle istniała szansa pełnienia funkcji produkcyjnych w systemie liberalno-kapitalistycznym, teraz ona już znika.

Na Lambercie możemy obserwować zjawisko przesuwania się ostatniego u nas pokolenia burżuazji przemysłowej na pozycję „konsumentów kultury", co jest historycznie uwarunkowaną ewolucją, której ulega zawsze, jak to prof. Chałasiński pokazał i na warstwie ziemiańskiej, degradująca się ekonomicznie klasa, gdyż ta droga daje jej jeszcze nadzieję na **urzymanie się na wyższych pozycjach społeczno-towarzyskich.**

By zdobyć tytuł kulturalnego Europejczyka, trzeba było w muzeach wiedeńskich czy Luwrze oglądać obrazy włoskich, flamandzkich czy francuskich malarzy, trzeba było bywać na koncertach skrzypcowych w paryskich salonach pani Serezol czy prowadzić błyskotliwe rozmowy z francuskimi surrealistami. **To wszystko jednak kosztowało duże pieniądze.** Stryj Hieronim mówi do Adama: „Ktoś przecie musi na was pracować, żebyście mogli udawać, że nie macie z nami nic wspólnego, że brzydzicie się pieniędzmi i że zajmują was tylko książki i obrazy". Adam przeżywa w Paryżu po Monachium dość silny wstrząs, ogarniają go katastroficznie obsesje, po rozmowach jednak ze stryjem, kóry zapobiegliwie lokuje kapitały w bankach londyńskich, i który zapewnia go, że fabryki produkują i w czasie wojny, nasz bohater raźnieje, nabiera znów ochoty do obejrzenia kilku ciekawych obrazów w Brukseli. Jak długo zabiegi Hieronima pozwalają korzystać Adamowi z książeczki czekowej, tak długo nie pozostaje w nim żadna myśl zerwania z rodziną. W momencie, gry strumień pieniędzy na skutek katastrofy wojennej się przerywa, bohater **dokonuje wyboru** (?), odchodzi od rodziny oświadczając, że czyni to z przekonania „o niesłuszności sprawy Lambertów". Ejże!

Jego odejście od rodziny jest odejściem od grupy, która ekonomicznie nic już nie znaczy, która nic więcej ekonomicznie dać mu nie może. W tym wypadku przecięcia dokonuje historia, pozbawiając Lambertów fabryk, ziemi i domów, uwalnia Adama od ostatnich związków z rodem.

Aby uwierzyć w ideowe zerwanie Lamberta z burżuazją, trzeba by moment odejścia cofnąć w czas, w którym jeszcze można było dokonać wyboru i to trudniejszego. Z wiedeńskiego wtajemniczenia bohater wyciągnie taki wniosek — wychyli głowę poza swoje egoityczne sprawy, zainteresuje się światem, ale po to tylko, by z biegu spraw odczytywać jak długo będzie mógł korzystać jeszcze z konta bankowego Lambertów. Wiadomość o tym, że wojska radzieckie wkroczyły do Brześcia (bohater znajduje się w majątku ziemskim Lambertów, w Stradeczu pod Brześciem) w pierwszych dniach wojny, znaczy dla niego tyle co koniec książeczki czekowej. Wybierał sam, czy został bez wyboru? W tym leży sprawa.

KULTURA OSTATNIEGO POKOLENIA LAMBERTÓW

Adam po doświadczeniach wojennych, decydujący się na przystanie do nowej rzeczywistości tak mówi o koledze, Stefanie R., synu dużego przemysłowca: „Dużo myślałem o nim przypominając sobie bieg jego życia. **Był zawsze uczciwy,** nie dostrzegałem w nim cech nieludzkich. Przeciwnie — w okresie największej pogardy dla ludzkiej godności starał się jej bronić jak umiał. Nawet jeśli umiał niewiele należy mu to dziś poczytać za zasługę. Był świadomy mechanizmu sił, które rządzą światem. Nie protestował przeciwko temu mechanizmowi i nie próbował go zmienić. **Ale wystarczy, że znał zasady jego działania i wiedział, że są złe.** To powinno ocalić jego pamięć a zarazem pamięć tysięcy ludzi nienajgorszej woli".

Oto atuty obrony Lambertów: **zdobywają wiedzę o mechanizmie rządzącym światem, uważają, że system jaki wytworzyła ich klasa — jest zły.** Za to samo chociażby należy im się dzisiaj rozgrzeszenie. Zanalizujmy tę sprawę. Poznanie mechanizmu rządzącego światem jest wartością konieczną dla wydania oceny, czy zasady rządzenia są słuszne. Ale sąd wartościujący a nie poznawczy warunkuje przyjęcie właściwej postawy wobec ocenianego zjawiska. I może by należało założyć, że np. politycy z Wall Street nie wiedzą co czynią. Boże im odpuść... Poznanie dla inteligenta burżuazyjnego nie wpływa jednak na zmianę dotychczasowej postawy, pozostawia tylko refleksje moralne — są smutni świadomością grzechu społecznego, nic nie robią jednak, by wyzbyć się tego grzechu.

Adam do ostatniej chwili nie miał ochoty oderwać się od bazy ekonomicznej Lambertów, ponieważ służyła mu do wejścia w kulturę; to nie byłoby jeszcze najgorsze, gdyby zdobył tą drogą **wartości, które mógłby jakoś zużytkować w nowych warunkach społecznych.** Błąd polega na czym innym. Mianowicie — wchodzi on w kulturę, wyrastającą na bazie wielkiej burżuazji zachodnio-europejskiej, nie mającej w naszych stosunkach odpowiednika, przesuwa się w sytuację „duchowej eksterytorialności". W miarę obsuwania się w kraju swojej klasy, która i tak była anemiczna, wiążącego się z koncetrowaniem kapitału w zagranicznych ośrodkach dyspozycji finansowej, młody Lambert będzie forsownie podciągał się do ekskluzywnego towarzystwa kosmopolitycznej elity kulturalnej, która swymi wytworami miała służyć wielkiej burżuazji finansowej. W tej strukturze kulturowej Lambert oczywista zawisa **w społecznej próżni,** kultura, w jaką wchodzi i przez swoje systemy filozoficzne i przez swoją sztukę stanie się dla niego **narzędziem ubezradnienia ideologicznego i kulturalnego.** Lambert uciekający w zachodnio-europejską kulturę będzie tylko **przyswajał kulturalne gesty,** będzie zdobywał wytworność estetyczną, która nie ma żadnego odniesienia w kraju, gdzie wierzchołki burżuazyjne były eksterytorialne i wobec nie spełnionego pełnego rozwoju kapitalizmu w Polsce — kikutowe. — Jego życie upływa na reprodukowaniu tylko i uczeniu się wzorów, jakie na zachodzie miały swoje determinaty — swoją rzeczywistą odpowiednio wielką i szeroką bazę społeczno-ekonomiczną, a przeniesione do nas zawisają w próżni. Ta droga skazywała na **reprodukcję, a to znaczy i własną niemoc, i jałowość twórczą.**

IDEOLOGIA I WARSZTAT PISARSKI

Autor posługuje się w swojej książce formą nie pamiętnika lecz wspomnień. Nakłada to na piszącego zupełnie inne rygory. Narrator rzutujący siebie w założone sytuacje dokonuje interpretacji wcześniejszych swoich zachowań i myśli z określonego punktu widzenia. Autor informuje nas w jakich kategoriach bedzie rozpatrywał, stworzonego przez siebie bohatera. Dla uproszczenia użyjmy tu marksistowskiego skrótu: „Byt społeczny określa świadomość". Adam Lambert rozpatrywany jest w kilku różnych zupełnie sytuacjach: jako podróżujący w latach przedwojennych wykwintny europejczyk z książeczką czekową, jako wysadzony z siodła w pierwszych dniach wojny inteligent burżuazyjny, jako robotnik leśny w głębi Związku Radzieckiego i wreszcie w pierwszym okresie powojennym jako inteligent mieszczański, nie wiedzący co z sobą począć w nowych warunkach.

---

*) Paweł Hertz: „Sedan", Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa, 1948 r.

O treści wewnętrznej postaci mówi przede wszystkim jej sposób widzenia rzeczywistości zewnętrznej. O ile będzie zmieniało się to widzenie o tyle mamy prawo przypuszczać, że bohater ulega ewolucji, dochodzi do dojrzałości, pozwalającej mu na uczestniczenie w nowej rzeczywistości.

W pierwszej sytuacji opowiadający prześlizguje się wzrokiem po ludziach, zdarzeniach, przedmiotach — one dostarczają mu podniet do subtelnej metafory:

„Byłem.. pełen lekceważenia dla rówieśników: oni bowiem, jak to zauważyłem, przyjmowali obraz świata łatwowiernie, niepodejrzewając, że kryje w sobie ogromną ruinę i ciszę, która przyjdzie i zakończy niby dobrze skonstruowana muzyczna fraza, kanonadę artylerii i płacz dziecka w spalonym domu pod rozdartym jak papier dachem“.

„Ze względów estetycznych wolałem kryptę Kapucynów...... niż **zryte kulami jak ospą** młode czoło austriackiej republiki: Karl-Marx-Hof“.

„Koncert kończył się w miarowych kadencjach, jakgdyby ktoś wstępował na wysokie wzgórze, skąd roztacza się piękny i rozległy widok, a potem schodził na czarną i smutną ziemię“.

W Sytuacji drugiej:

„W świetle reflektorów ujrzałem prawie grecką grupę Berzów, zastygłych, skamieniałych, z rękami wzniesionymi ku górze, jak gdyby jednocześnie wzywali pomsty nieba i chcieli, jak dzieci — motyla, nakryć rozczapierzonymi dłońmi wyjeżdżający właśnie ze stajni samochód Forcajgów“.

W Sytuacji trzeciej:

„Dymitr patrzał na krajobraz jak gospodarz. Widziałem teraz jego profil na tle dalekiego pejzażu, prawie geometryczny, przypominający nowoczesne afisze. Jednocześnie dziwaczna proporcja między ogromnym krajobrazem, którego szczegóły były zatarte, a dokładnym rysunkiem tego profilu, przypominała włoskich prymitywów, kontrastujących dwa plany“.

W Sytuacji czwartej:

„Dawna hierarchia budynków została zniwelowana — nie było wysokich wież ani górujących nad innymi kamienic. Jednakowy pozornie los spotkał kościoły i czynszowe domy, dzielnice biedne i dzielnice bogate. Ruiny, które dotychczas były jedynie świadectwem starożytności, stały się teraz symbolem czasów najbardziej nam bliskich. Patrząc na nie, wydawałem się sam sobie Rzymianinem, przywołanym z zaświata na ruiny Kapitolu, abym tam mógł medytować nad błędami swojego pokolenia“.

W każdej z tych sytuacji mamy **właściwie** ciągle ten sam typ widzenia, nie płynie ono z przekształcających bohatera doświadczeń, lecz uwarunkowane jest kulturą literacką, zaczerpniętą z innego porządku. Ciąży na niej artystowska refleksyjność Prousta, gdzie rzeczywistość, w którymkolwiek miejscu by się ją „napoczęło“, jest tylko pretekstem do rozbudowywania wewnętrznego bogactwa, jest bodzcem do tworzenia „poetyckiej nadwartości“. Bohater ciągle kulturowo tkwi w strefie „Guermantes“. Wydaje nam się, że jest to nienajszczęśliwsza obrona burżuazyjnego inteligenta.

Wyjaśnienie takiego zjawiska, jak „Sedan“, który miał być literacką demonstracją socjologicznie postawionego bohatera a **pozostał nadal książką z życia „wyższych sfer“**, należy szukać, posługując się metodą insynuacyjną, u samego autora, który swoje widzenie rzeczywistości nanosi z doświadczeń zrodzonych przez inne niż w naszej strukturze warunki społeczno-kulturowe. Hertz lubi ciągle składać „wizyty Proustowi“ rzadziej odwiedza Gorkiego. Gdy patrzę na „Sedan“ nie wydaje mi się przypadkiem, że Jastrun pisze essaye o Mickiewiczu, a Hertz o Słowackim, który wysoko sobie cenił wykwintne, różnokolorowe kamizelki, mógł być przyjmowany w dzielnicy Saint-Germain, żył z renty a ponadto, jak zapewnia nas Kott, dość szczęśliwie spekulował na giełdzie.

Leonard Sobierański

Maria Janion

Żywot szlacheckiego liberała

(zsocjologizowany życiorys T. T. Jeża)

„Żywot szlacheckiego liberała T. T. Jeża“ stanowi pierwszy rozdział pracy o **„powieściach chłopskich“** Jeża. Fragment ten ukazuje jeden z podstawowych warsztatowych zabiegów socjologicznej analizy dzieła: **ustalenie pozycji socjalnej pisarza celem określenia jego ideologii**. Pisarz stoi zawsze na pozycjach ideologicznych określonej klasy społecznej; nie zawsze zresztą na pozycjach klasy, do której przynależy na mocy swego pochodzenia społecznego.

W wypadku Jeża uznałam za konieczne wciągnąć w zakres rozważań **całokształt jego życia** — z trzech względów.

Po pierwsze — pozycja społeczna Jeża w latach 50-tych (gdy powstała większość jego powieści chłopskich) nie determinowała w pełni jego postawy ideologicznej. Korzenie ideologii Jeża tkwiły w jego pochodzeniu społecznym i wcześniejszym okresie życia. Mimo zmian pozycji socjalnej (od członka kapitalizującej się rodziny szlacheckiej do zawodowego literata, żyjącego w środowisku mieszczańskim) ideologia pozostała niezmienna. Niezmienność ta nie jest bynajmniej wynikiem niezmiernej siły oddziaływania wrażeń młodości, lecz wypływa w prostej linii ze specyficznej sytuacji członka Wielkiej Emigracji, która obracała się w kręgu szlacheckiego liberalizmu i jego ideowych konsekwencji.

Po drugie — szczególnie w powieściach chłopskich Jeża znajdujemy słabe jeszcze i rozproszone pierwiastki ideologii, która w życiu społecznym wystąpi w całej pełni dopiero pod koniec wieku XIX jako ideologia Narodowej Demokracji. Na przykładzie ostatnich dziesięcioleci życia i działalności Jeża wystąpią w całej ostrości konsekwencje ideologii szlacheckiego liberalizmu i kierunek jej ewolucji.

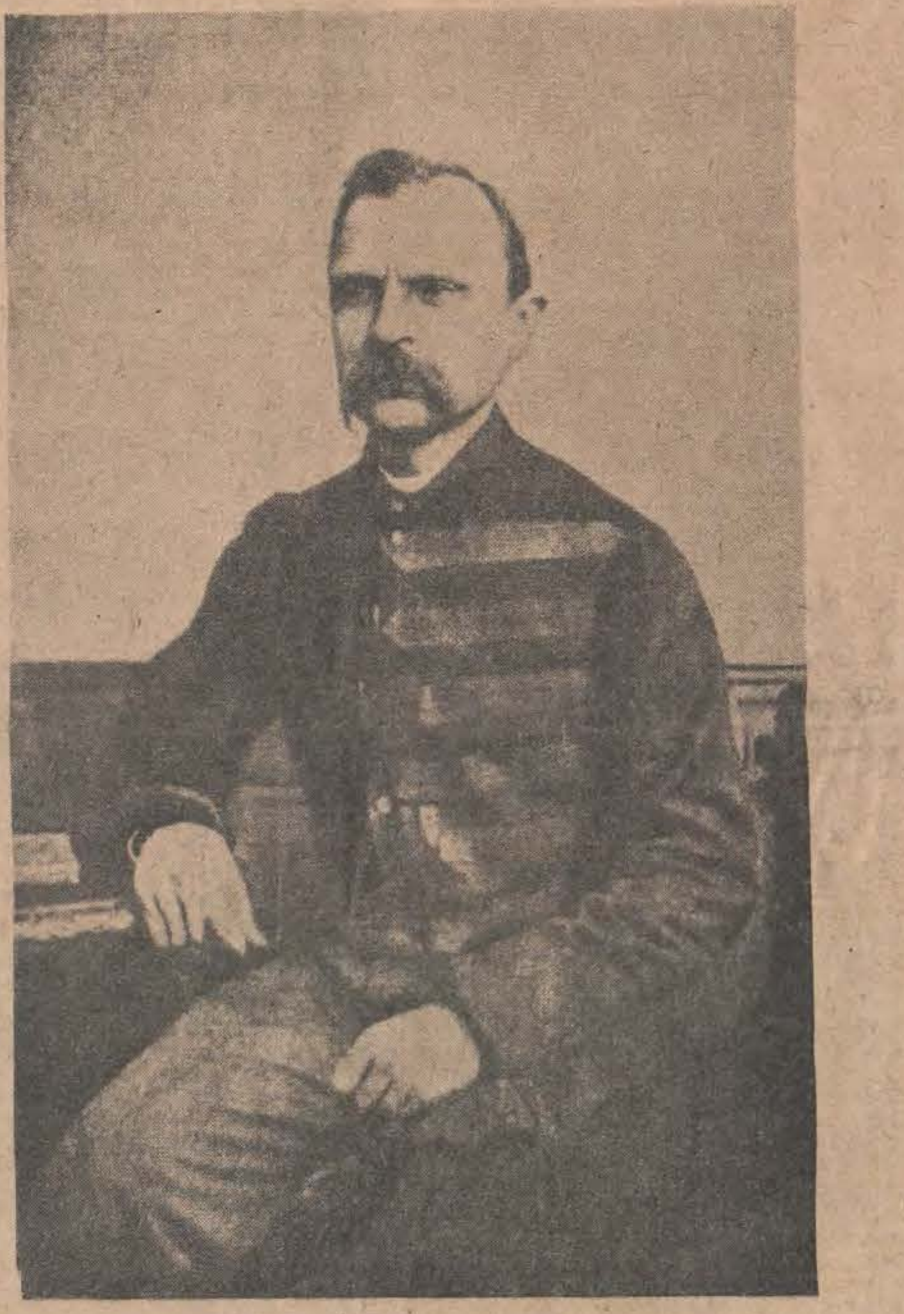
Po trzecie — ze słów Jeża „Piszę, bo nie mam co innego robić“ oraz z innych wypowiedzi, określających stosunek między jego działalnością literacką a polityczną i omawiających znaczenie zarobkowe pracy pisarskiej, wynika konieczność traktowania pisarstwa Jeża na marginesie jego życiowej aktywności. Stąd niemożność rozdzielnego traktowania Jeża — polityka i Jeża — pisarza.

Dyrektywy metodologiczne życiorysu zsocjologizowanego można wyczytać w rosyjskich pracach historyczno - literackich (np. Lukacs o Heinem, Kirpotin o Dostojewskim, Jermiłow o Czechowie), w rozproszonych uwagach polskich socjologów.

Pochodzenie społeczne, baza ekonomiczna, dążenia polityczne i kulturalna postawa rodzimej klasy pisarza — to elementy podstawowe, lecz niewystarczające przy kreśleniu zsocjologizowanej biografii pisarza. Pisarz może bowiem w ciągu swego życia przejść na pozycję innej klasy. Należy zatem, rozpatrując fakty z jego życia, określać nie tylko jego doraźną pozycję społeczną, ale i zakres jego działalności, która warunkuje zasób jego **doświadczenia społecznego.**

Pojęcie doświadczenia społecznego, na które składają się nie plotkarskie szczegóły indywidualne, lecz fakty typowe dla losów ludzi z określonego kręgu socjalnego, wyróżnia biografię zsocjologizowaną zarówno od biografii psychologizującej, jak i enumeracyjnego życiorysu chronologicznego. Takie biografie i życiorysy dostarczają zazwyczaj materiału anegdotycznego, który pozwala na interpretację tematyki i sytuacji literackich utworu przez odnoszenie ich do przejść życiowych pisarza. Stwarza to pole do dowolności i nie uwzględnia momentu konwencji literackiej.

Życiorys zsocjologizowany dostarcza faktów dostępnych naukowemu opisowi, pozwala na właściwą interpretację ideologii pisarza, budując **ramy podstawowych tendencji jego klasy i jego czasu.**



Pułkownik Z. Miłkowski, 1863 r.

NA UKRAINIE

Rodzina Miłkowskich wywodziła się z drobnej szlachty podlaskiej częściowo „chodzącej dzierżawami“, częściowo biedującej na niewielkich, ubogich wioseczkach. Na Ukrainę przeniósł się romansowy dziad Jeża, Jan, który po ucieczce ze szkoły i wykradzeniu panny z zamożnego domu, wolał się w swych stronach nie pokazywać. Na Ukrainie kołatał się po drobnych dzierżawach, wreszcie w pierwszym dziesięcioleciu XIX wieku kupił nad Dniestrem niewielką wioskę Saraceję. — Niewielką — choć posiadającą tysiące morgów obszaru. Wioska liczyła zaledwie sto dusz, a siła robocza decydowała o obszarze zasiewów i ilości zbiorów.

Problem „stu dusz“ narodził zapewne „sprawę chłopską“ rodu Miłkowskich. W ramach ustroju feudalnego dziad reprezentuje postępową formację „gospodarki rozumnej“, jak to określa wnuk. Racjonalna uprawa i ludzkie obchodzenie się z poddanymi czynią jego wioskę atrakcyjną dla zbiegłych chłopów — setka dusz się powiększa. „Ludzkość“ staje się cechą dziedziczną Miłkowskich. Kiełkuje wśród bardziej rzutkich agronomów przeświadczenie, że jakieś formy dobrowolnej umowy są korzystniejsze, niż kruszący się system przymusu i ucisku. W domu dziada panuje „małoszlachecki dostatek“, ale sześcioro dzieci do podziału nie wróży niczego dobrego przyszłości rodziny.

Najstarszy syn Józef — ojciec pisarza — osiąga wprawdzie rękę jednowioskowej panny; Balbiny Brudzewskiej. Ale rodzina Brudzewskich, żyjąca wspomnieniami dawnej świetności i senatorskimi tradycjami rodu uważa małżeństwo z młodym chłopcem, posiadającym prawo do szóstej części wioski za mezalians.

Józefostwo Miłkowscy osiedli z całą rodziną w Saracei. Tam, już po śmierci dziada — w r. 1824 — przyszedł na świat Zygmunt Miłkowski.

W przeludnionej Saracei nie było co robić. Józef Miłkowski za swoją część spadkową i posag matki wziął dzierżawę dostatniej wioski. Wkrótce jednak nadarzyła się okazja do transakcji, mieszczącej się już w odmiennym ustroju gospodarczym.

Ukrainę, jeszcze przed uwłaszczeniem chłopów, dokonanym w r. 1861, jeszcze przed wielkokapitalistycznym rozwojem przemysłu lekkiego, zwłaszcza spożywczego, wywołanym w latach 70-tych protekcjonistyczną polityką Rosji — cechował pewien stopień kapitalizacji. Dogodne warunki klimatyczne oraz duże możliwości rynkowe sprawiły, że — jak pisze Kula — Ukraina była krajem „wielkich nadwyżek zbożowych i znacznego eksportu produktów spożywczych“.

W przemyśle na pierwszy plan—ze względu na rozmiary produkcji — wysuwało się cukrownictwo, a dalej młynarstwo, stanowiące zazwyczaj najwcześniejszy etap uprzemysłowienia krajów rolniczych. Ze względu na zdecydowanie eksportową i latyfundialną gospodarkę Ukrainy nawet młynarstwo, będące wg. Kuli przemysłem raczej zdecentralizowanym, przejawiało dążność do koncentracji wielkokapitalistycznej. O rozmiarach ukraińskiego przemysłu może świadczyć fakt, że stojące na trzecim miejscu gorzelnictwo pokrywało zapotrzebowanie na spirytus całej Rosji. Głównym producentem zboża była uprzemysłowiona wielka własność, prowadzona w systemie gospodarki pieniężnej.

Majątki ziemskie stały się dzięki doskonałej koniunkturze, intratną lokatą kapitałów. Były to przeważnie majątki wielkie, gdyż panowało przekonanie, że produkcja rolna małej własności jest nieopłacalna. Nadwyżki zbożowe sprzedawano kupcom — pośrednikom lub wieziono do Odessy i zbywano tzw. „komisantom“. Byli to przedstawiciele zbiedniałej szlachty, żyjący dość licznie i dostatnio w Odessie, posiadający — mimo trudnienia się handlem — bynajmniej niepodrzędną pozycją społeczną.

Normy produkcji kapitalistycznej przenikały do dworków od wielkich latyfundiów, zakładów przemysłowych i centrów handlowych. Józef Miłkowski utworzył wraz z krewnymi trzyosobową spółkę rodzinną. — Wzięto w dzierżawę ogromną wieś — Klebań pod Tulczynem — należącą do Mieczysława Potockiego. Impreza pomyślana była z rozmachem. Rozporządzano sporym kapitałem zakładowym: zbudowano gorzelnię; w celu intensyfikacji gospodarki zakupiono woły i dano je chłopom na 12-letnie spłaty. Przewidywano zwrot kapitału i procentów w ciągu 12 lat. Nieurodzaj i chwilowa zła koniunktura rynkowa podcięły istnienie spółki. Potocki, słynny gwałtownik, wymówienie przyjął, ale nie tylko nie chciał zwrócić nakładów pieniężnych, lecz jeszcze nakazał zniszczyć siłą zbiór zboża z ostatniego roku, cały majątek Miłkowskich. Po klęsce tej — straty sięgały do 50 tys. rubli — Miłkowscy zbiednieli ostatecznie. „Wielki pan człowieka dla fantazji zrujnował i przepadło...“ — skarży się Jeż we „Wspomnieniach“. Barwne — ze względów obyczajowych — dzieje zatargu między dzierżawcą a milionerem przyniosły w wyniku klęskę finansową spółki. Kruszący się system, mimo chroniących nowe formy gospodarki, norm prawnych, miał jeszcze dość siły, by zaciążyć nad losem ludzi nowych.

Miłkowscy — to już ludzie nowi, żyjący w dużej mierze nowymi kategoriami społecznymi. Pozycja dzierżawcy zmuszała do intensyfikacji produkcji, ułatwiała zrozumienie dwóch podstawowych zasad gospodarki kapitalistycznej: wagi kapitału na inwestycje i wolnego rynku najmu pracy. O pańszczyźnie głośno mówi się w domu Miłkowskich, że się „nie opłaca“.

Kalkulacja szła ręka w rękę z wybrykami dziwaków. Stryj Jeża, Jan Miłkowski, wbrew obowiązującym przepisom, zniósł w będącej w jego posiadaniu rodzinnej Saracei — poddaństwo i pańszczyznę. Na dokładkę— co było już przestępstwem — wydawał nie tylko swoim ludziom, pragnącym wyruszyć w świat, ale i wszelkiego typu włóczęgom, zbiegłym poddanym, burłakom, myszkującym na pograniczu Besarabii — „pozwolenia od ekonomii“, zastępujące formalne paszporty. Ten prywatny patronat nad marginesem społecznym kruszącego się feudalizmu sprowadzał na niego liczne „sztrafy“, co wspólnie z nieporządną i niedbałą gospodarką rujnowało majątek. Ciekawe jednak, że rodzina ubolewała tylko nad urojeniami dziwaka, który ożenił się z własną służącą i rozmawiał z Matką Boską, prorokującą mu, że zostanie królem i carem. Tendencja antypańszczyźniana nie była kwestionowana. — Nic więc dziwnego, iż ojcu Jeża zarzucali wszyscy jurysdatorzy, że „rozpieszcza chłopów“. Panowała w kręgach drobnej szlachty dość powszechna pogarda w stosunku do tzw. „pasożytów pańszczyzny“. Krążyły na ich temat dowcipy. Później, w latach zniesienia pańszczyzny, Aleksander Weryha ironizował:

„Ukraino! kraju żyzny,
cóż ty poczniesz bez pańszczyzny,
bez pańszczyzny i bez bata —
a to istny koniec świata!—“

Kalkulacja i „ludzkość“. „Ludzi bitych nigdy nie widziałem“ — chwalił się Jeż na starość.

Przejrzysty schemat ideologii drobnych ziemian i dzierżawców, ciążących ze względu na swą pozycję społeczną i sytuację ekonomiczną do kapitalizmu, gmatwa niesłychanie w warunkach polskich sprawa patriotyzmu, szlacheckich dążeń niepodległościowych. Utrata niepodległości oznaczała praktycznie olbrzymie obniżenie autorytetu społecznego szlachty, roszczącej sobie ongiś prawa do przywilejów z racji swej funkcji politycznej, jako warstwy kierowniczej i kla-

sy obrońców kraju. Ograniczenie lub zamknięcie kariery politycznej i wojskowej dla Polaków skazywało szlachtę na rolę społeczną „pasożytów pańszczyzny". Kwitło bądź bałagulstwo, bądź dziwactwo, przechodzące w nieszkodliwą manię, jak w wypadku stryja Jana.

Walka o niepodległość stwarzała nowe możliwości odbudowania mitu „ warstwy kierowniczej". Wojaczka pasjonowała wyobraźnię wychowanków konwiktów. Awanturnicza ucieczka ze szkoły—to schemat wstąpienia w życie publiczne trzech znanych nam pokoleń Miłkowskich.

Dziad Jan ucieka ze szkoły, porywa pannę i wstępuje jako towarzysz do kawalerii narodowej, pełniąc służbę na Kresach. Brał udział w wojnie z Rosją 1792 roku. Wśród pamiątek rodzinnych przechowywano rozkaz Kościuszki, skierowany do Jana Miłkowskiego oraz skórę zasłużonego konia, który po wiernej służbie żył w majątku na łaskawym chlebie.

Józef Miłkowski, wyprawiany wraz z braćmi do szkoły przy akompaniamencie napominań pod adresem guwernera: „Bij, za to ci płacę!" poważył się zjawić u srogiego ojca, zemknąwszy ze szkoły, z oznajmieniem, że idzie na wojnę. Otrzymał nie tylko błogosławieństwo, ale szablę i sto dukatów. Wojował jako żołnierz Księstwa, był oficerem Królestwa wreszcie uczestnikiem powstania listopadowego. Komisja śledcza, szukając dowodów winy Miłkowskiego, zjechała do Rybek. Wdzięczni poddani nie wydali jednak dobrego pana.

Jeż wyruszył na wojnę w podobnych okolicznościach. Powróciwszy do domu na ferie wielkanocne śród wieści o ruchawkach galicyjskich 48 r. marzy o gwardii narodowej. „Droga do niej była gotowa. Wskazywała mi takową tradycja rodzinna" — stwierdza w pamiętnikach.

Dążenia narodowe komplikują, jak już wspomniałam, wyraźny kształt „kostiumu ideologicznego" polskich prakapitalistów. Ten „kostium ideologiczny", ze zrozumiałych względów, obfituje w momenty rycersko - feudalne. „Jerozolima Wyzwolona" — w przekładzie Kochanowskiego — była stałą lekturą domu Miłkowskich. Wśród sąsiadów krążyła w ręcznych odpisach „Eneida" Kotlarzewskiego, rozrywana przez szlachtę, wrażliwą na elementy wojennego romansu przygód.

Mickiewicz przyjął się w tej atmosferze szybko. Ojciec przywiózł do domu rękopis III części „Dziadów" już w 1833 roku. Odczytywano je w gronie zaufanych wieczorem, poczem chowano do blaszanej puszki i ukrywano w wielkiej tajemnicy. W następnym roku znów ojciec przywiózł książki ze świata. „Z książkami przywiezionymi zawitała pod dach nasz literatura szkoły romantycznej: Brodziński, Mickiewicz..." — pisze Jeż. Nieścisłość klasyfikacji historyczno-literackiej nie jest tu ważna. Ważniejsze jest, że chwyta sentymentalno - romantyczna chłopomania preromantyzmu i młodego romantyzmu. Chłopomania sięga po inne polityczne wzory odmiennej zresztą ideologii. — Kult Woltera każe ubiegać się o „Dictionnaire philosophique", a szlachcic na łopacie, zdobiący czytane często w domu stare roczniki „Wiadomości Brukowych" na długo utkwił w pamięci Jeża.

Środowisko średniej szlachty — wg. relacji Jeża — było wówczas dość żywe intelektualnie. Ruch umysłowy wniosła liczna młodzież pozostałych po gospodarce Komisji Edukacji Narodowej szkół, studenci Uniwersytetu, „ciało nauczające" szkół okolicznych (Winnica, Humań) podejmowane serdecznie przez dwory obywatelskie w czasie wakacji. Panował „szacunek dla ludzi rozumnych i poszana dla książek". Nad Ukrainą unosiła się atmosfera Krzemieńca.

2. SZKOŁY

W r. 1835 11-letni Zygmunt Miłkowski, poddany dotychczas tylko oddziaływaniu kręgu rodzinno - towarzyskiego, zostaje wysłany do szkoły w Niemirowie. Nowa instytucja społeczna decyduje o sposobie udziału chłopca w krótkotrwałym, lecz silnym wstrząsie konarszczyzny. „Sprawa Konarskiego odbiła się po szkołach silnym echem" — stwierdza Jeż we „Wspomnieniach". —

W r. 1838 dzieciarnia szkolna zawiązuje „spisek kawalerów miecza". Konspiracja zastępuje zabawy w Tatarów. „O matko — Polsko, źle się syn Twój bawi!" Skutki tej dziecinady, nazwanej przez Jeża po latach „zabawą w Rinaldiniego", były smutne. Władzom rosyjskim chodziło o usunięcie polskiego dyrektora gimnazjum. Sprawę rozdmuchano, ale z młodzieżą nie postąpiono zbyt srogo. Miłkowski został skazany tylko na pozostanie w mieście na okres wakacji. W r. 1842 zaproponowano mu dla rehabilitacji funkcję donosiciela. Miłkowski wystąpił wówczas ze szkoły i postanowił sam przygotować się do egzaminu na uniwersytet. Studia w Kijowie uniemożliwiła mu notatka na świadectwie „powiedienije niebłagonadiożnoje". Wybrał więc Liceum Odesskie, dające prawa uniwersyteckie. Wstąpienie do Liceum było łatwiejsze dla politycznie skompromitowanych dzięki liberalizmowi gubernatora odesskiego.

Kwestia wyboru fakultetu stała się przedmiotem dyskusji w domu. Miłkowscy uważali, że dzieci ich muszą wyjść ze wsi, gdzie nie było już dla nich miejsca. Zygmunt Miłkowski miał zamiłowanie do matematyki. Ojciec radził prawo lub medycynę — „dla chleba".

Liczni potomkowie rodzin szlacheckich zapełniali uniwersytety, przygotowując się do szukania chleba w warunkach miejskich. Kariera biurokratyczna i wojskowa była utrudniona i potępiona społecznie, o ile nie podejmowało się jej z wallenrodowskim nastawieniem.

Odessa, ogromny port zbożowy, stanowiący rynek zbytu dla całej szlacheckiej Ukrainy, przedstawiła się oczom prowincjusza nie tylko jako zdumiewające, wielkie miasto. „Od granicy gubernii chersońskiej poczynał się inny świat, który wyraz swój formalny znajdował w metropolii czarnomorskiej. Wolność tam jaśniała większa aniżeli na Rusi.. W Odessie czuć się dawała Europa. Owiewał ją duch liberalny, który szedł od góry, od gen.-gubernatora hr. Woroncewa" (Jeż — „Wspomnienia").

Piękne, bogate miasto, handlowa metropolia kraju „mlekiem i miodem płynącego", pełne kupców i bankierów, miało już odrębny „europejski" styl życia liberalnego mieszczańskiego XIX-wiecza. Przybysz z prowincji czuje się jednak obco wśród tych egzotycznych trochę formacji wielkokapitalistycznych. Jedyną sferą, z którą utrzymuje bliższe stosunki, są „komisanci" — ex-ziemianie, stanowiący jakieś pośrednie ogniwo szlachecko - mieszczańskiej kultury.

W r. 1846 Jeż skończył Liceum Odesskie ze złotym medalem. Był to niespokojny rok pierwszych jaskółek Wiosny Ludów — mówiono o powstaniu krakowskim, rzezi galicyjskiej, o berlińskim procesie Mierosławskiego i towarzyszy.

Gdy Jeż wrócił do domu i wraz z ojcem ustalili swój pogląd na „ekonomiczną, społeczną i polityczną szkodliwość" stosunków pańszczyźnianych, powstał pomysł memoriału o pańszczyźnie, przeznaczonego na większe zebranie sąsiedzkie. Popis studenta nie spotkał się ze szczególnym aplauzem; rzeź galicyjska ostudziła chłopomanów.

Niebogaty dzierżawca — utrzymujący co prawda stosunki towarzyskie z zamożnym ziemiaństwem, z którym łączy go poziom kulturalny — pozycją ekonomiczną i poglądami politycznymi zbliża się do warstwy oficjalistów dworskich szlacheckiego pochodzenia. Wśród nich najszerzej przyjęły się hasła Konarskiego. „Głoszone zasady wolności, równości, braterstwa wstrząsnęły silnie ich uczuciem, porwały wyobraźnię i — rzec można zrewolucjonizowały ich zupełnie niwecząc dawne klasowe szlacheckie ich uprzedzenia" (Limanowski).

W r. 1347 Jeż jako wolny słuchacz przybył do Kijowa. Sam nie wiedział początkowo, czy ma starać się jakoś o dopuszczenie do egzaminu, czy też ma usiłować dostać się do wojska. Wkrótce jednak pochłonęła go atmosfera żywszego niż w Odessie życia studenckiego.

Tradycyjne studenckie bałagulstwo, które kwitło w Kijowie, zamieniając uniwersytet w jedną z najniesforniejszych szkół Cesarstwa, zostało na krótko przed przybyciem Jeża zaatakowane przez grono wychowanków gimnazjum w Mińsku. „Mińszczuki" wystąpili z hasłami idealistycznych niemieckich Tugendbundów; głosili kult nauki, życie cnotliwe; zagrozili, że będą bić kijami karciarzy, pijusów i donżuanów uniwersyteckich. Moralistyczny terror poskutkował: cnotliwe obyczaje stały się naraz modne. Skuteczniej jeszcze bałagulstwu przeciwstawiło się rozbudzone tętno życia politycznego. Od r. 1846 wychodziła w Kijowie „Gwiazda", pismo walczące z obskurantyzmem Rzewuskiego, Grabowskiego, Hołowińskiego, Sztyrmera, koncentrujących się wokół „Tygodnika Petersburskiego". „Gwiazda" głosiła zasady liberalne i demokratyczne, zasady miłości bliźniego w stosunku do poddanych, zasadę religii ducha zamiast religii formuły; kwestie socjalne interesowały ją bardzo. Ta walka z feudalną konserwą działała na wyobraźnię młodzieży uniwersyteckiej. Uniwersytety ówczesne były centrami rewolucjonizmu. Młoda inteligencja — przyszła inteligencja mieszczańska — musiała żądać zniszczenia feudalizmu, w niektórych krajach rozkładającego się dopiero, w innych wegetującego już w formach szczątkowych. Spiskomania należała nie tylko do bagażu ideowego, ale i do dobrego tonu studenta.

Tymczasem na Uniwersytecie Kijowskim „spisku" jakoś nie było. Młodzież, przeważnie pochodzenia szlacheckiego, powoli przejmowała normy dobrego tonu swych zachodnio-europejskich kolegów. Sytuacja była jednak kompromitująca: wstyd ogarnął studentów polskich, gdy młodzież ruska zwróciła się do nich z prośbą o instrukcje dla założenia tajnego towarzystwa. „Polacy napewno mają spisk" — głosiła opinia uniwersytetu. Zwrócono się do Jeża, który szczenięcej imprezie niemirowskiej zawdzięczał sławę groźnego przestępcy politycznego. „Taką dla mnie przesadną koleczy sytuację wytworzyli" — skarżył się w starości Jeż na swą drogę rewolucjonisty — „wszedłem w nią — wejść musiałem — z racji temperamentu, jakim mnie natura obdarzyła, a który mi przeszkadzał drogą legalną porządku i przyzwoitości iść ku zapewnieniu sobie na starość chleba kawałka".

Zawiązano spisek. Jeż ułożył statut i deklarację ideową, która była powtórzeniem memoriału sprzed roku. Wkrótce powstały tendencje przerzucenia spisku na teren wojska i biurokracji. W związku z tym Jeż podejmuje nieudane próby dostania się do służby rządowej. Lutowa rewolucja paryska i wypadki wiedeńskie wywołały entuzjazm i spowodowały niesłychany wzrost organizacji. Na Wielkanoc 1848 r. wyjechał Jeż do domu, by nigdy już na Uniwersytet nie powrócić.

(c. d. n.)

Mara Janion

Bronisław Urbański

Czy ziemia jest w środku świata? *)

W naszej kulturze tradycje popularyzacji nauk ścisłych, matematyczno - przyrodniczych są równie niezbyt odległe i gruntowne jak powszechny szacunek dla tych dyscyplin. Kult dla nich szerzą — jak potrafią — szkoły pijarskie po reformie Konarskiego, z musu podejmują to zadanie także w XVII w. jezuici, obawiający się, by monopol na nauczanie nie wyśliznął im się całkowicie z rąk wskutek nedocenienia tej gałęzi wiedzy, która na Zachodzie odgrywała już ogromną rolę. I jedni i drudzy zakonni wychowawcy pilnie, choć w różnym stopniu przestrzegali, by nie wykraczać poza szranki spirytualistycznego systemu, któremu służyli — i raczej dbali, żeby nie narazić się na zarzut podkopywania wiary niż starali się o rozmiłowanie uczniów w świecie materii. Próby zmobilizowania kulturalnego i społecznego szerszych rzesz szlacheckich dla uratowania zagrożonego rozbiorami wielkiego organizmu politycznego m. inn. przy pomocy elementów racjonalistycznego i opartego o doświadczenie wychowania, w czym Komisja Edukacyjna miała odegrać najważniejszą rolę — załamały się pod uderzeniem ciosów zewnętrznych. Wkrótce po burzy napoleońskiej ogarnęła Europę reakcja spirytualistyczna, wywodząca się z Niemiec. Utonęła w niej Polska, na co zresztą złożyło się zbyt wiele przyczyn, by można tu było o nich choćby wspomnieć.

Mętnej fali idealizmu i spirytualizmu opierają się chyba najdłużej Jan i Jędrzej Śniadeccy. To też w świadomości pokolenia, które będzie usiłowało wyrwać się spod uroków romantyzmu i rozpocznie trud pracy naukowej i popularyzacyjnej po powstaniu styczniowym — ci dwaj profesorowie uniwersyteccy, konsekwentnie i uparcie walczący na wszystkich dostępnych im polach o prymat myśli naukowej, będą najgodniejszymi naśladowcami rodzimymi wzorami wychowawców.

Połowiczność kulturowego systemu pozytywistycznego nie dawała rękojmi zupełnego powodzenia podjętej wtedy akcji popularyzacyjnej, choć niemałe oparcie znajdowała w technicystycznych tęsknotach ząbkującego kapitalizmu przemysłowego. Zbyt wielkie było zapóźnienie, zbyt szczupłe środki i nikły rozmach, zbyt wielkie ustrojowe marginesy społeczne, by można było cel osiągnąć. Choć więc do tych tradycyj nawiązujemy i nawiązywać wypada, dopiero dziś, gdy podstawowe przeszkody społeczne zostały usunięte, gdy borykamy się zwycięsko z przeszkodami natury gospodarczej — są pełne szanse na przezwyciężenie również zastarzałych oporów kulturowych, bo za jedno zadanie uważamy **wyzwolenie człowieka z więzów wyzysku, ucisku co i ciemnoty.**

Akcja popularyzacyjna powinna sięgnąć do kręgów najdalej leżących od środka wiedzy, ogarnąć je jej światłem, natchnąć zainteresowaniem dla świata rzeczy i pobudzić do gruntowniejszego poznawania sił przyrody, by wprząc je w służbę człowieka.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową uczynił ktoś spostrzeżenie, że robotnik francuski mimo swego niewielkiego wykształcenia bywa lepiej i gruntowniej zorentowany w wielu gałęziach życia, jest bardziej nowoczesny w poglądach niż inteligent rosyjski o średnim wykształceniu — i przypisywał to zjawisko obfitości prasy we Francji. Miał on prawdopodobnie na myśli taniość, dostępność i aktualność tej formy podawania poważnej informacji. Otóż tym samym wymaganiom powinna odpowiadać akcja popularyzatorska. Najważniejsze zaś to, że powinna sformułowaniem tematu trafiać w najczulsze punkty, w **wiązadła resztek dawnych systemów kulturowych.** Jeśli dostaje broszurę popularną nauczyciel lub uczeń — to może ona dlań być jednym z pomocniczych materiałów naukowych, ale dla samouka lub działacza oświatowego na wsi musi ona być **bodźcem do rozpraszania mroków swojej i cudzej niewiedzy,** do samodzielnej i współtwórczej pracy nad wytworzeniem harmonijnego, wolnego od przesądów poglądu na świat.

Czy tym wszystkim wymogom odpowiada akcja podjęta przez „Czytelnika" w ramach „Wiedzy Powszechnej"? Sądzę, że z zastrzeżeniami, które nieraz na tych łamach wypadnie zgłaszać, należy odpowiedzieć twierdząco. Broszury są tanie, jak barszcz. Są droższe czterokrotnie od dziennika, a tańsze od niejednego czasopisma specjalnego czy rozrywkowego. Tłoczone są w sposób oszczędny i estetyczny. Redakcje działów spoczywają w rękach najwybitniejszych specjalistów, co daje rękojmię jakości opracowań.

Poszczególne tomiki związane są w cykle, dążeniem bowiem redakcji jest ogarnięcie w przyszłości całokształtu wiedzy o świecie i jego zjawiskach. Cykle są pomyślane elastycznie i łatwo je bogacić o nowe tematy odpowiadające potrzebom społecznym.

Jakie wzruszające w swej naiwności, a zarazem celne muszą się wydać obliczone na kulturowo średniowieczne jeszcze kręgi czytelników wiejskich takie np. tytuły: „Czy ziemia jest w środku świata?" Toż geocentryzm dawno przepłoszony w astronomii przez Kopernika, którego dzieło dotąd bodajże figuruje na kościelnym indeksie jako niezgodne z pismem św. — nadal tuła się po naukach księdza proboszcza i katechety, nadal jest podstawą stosunku do świata i człowieka.

Czyż nie sensowniejsze i zarazem cudowniejsze rewelacje czekają czytelnika przy lekturze książeczki o tym „Jak zważono Ziemię, Słońce i planety" — gdzie dowie się o badaniach za pomocą analizy widmowej nie tylko składu chemicznego ciał niebieskich, ale i obliczenia prędkości ich ruchu i to nawet gwiazd odległych od Ziemi o miliony lat świetlnych — sensowniejsze i ciekawsze niż objawienia na jakie powołuje się, najczęściej niedouczony, sługa Kościoła. Jakże skuteczną bronią może się okazać wobec tych, co szermują wykrętnymi argumentami czerpanymi z biblii, książeczka: „Co wiemy o początkach życia na ziemi?" albo „Kto zapisywał kronikę ziemi", czy „Jak kształtowało się oblicze ziemi?".

Nie! nie dziwiłbym się, gdyby te tanie tomiki zostały rozkupione przede wszystkim przez wiernych kościoła, po to by je w zaciszu domowym spalić. Chyba, że papież zdobędzie się na jeszcze jeden list „prywatny" (jak do biskupów niemieckich) i biblioteczkę potępi, grożąc piekłem za analizę „widma" słonecznego.



Taka gwiazd historyę, którą z książek zbadał, albo słyszał z podania, Wojski opowiadał..."

*) Wiedza Powszechna. Wydawnictwo popularno-naukowe. Sp. Wyd. „Czytelnik".

„Astronomia w perspektywie wieków": Eugeniusz Rybka — „Rozwój idei astronomicznych od czasów najdawniejszych do chwili obecnej". Tadeusz Musiałowicz — „Czy ziemia jest w środku świata?".

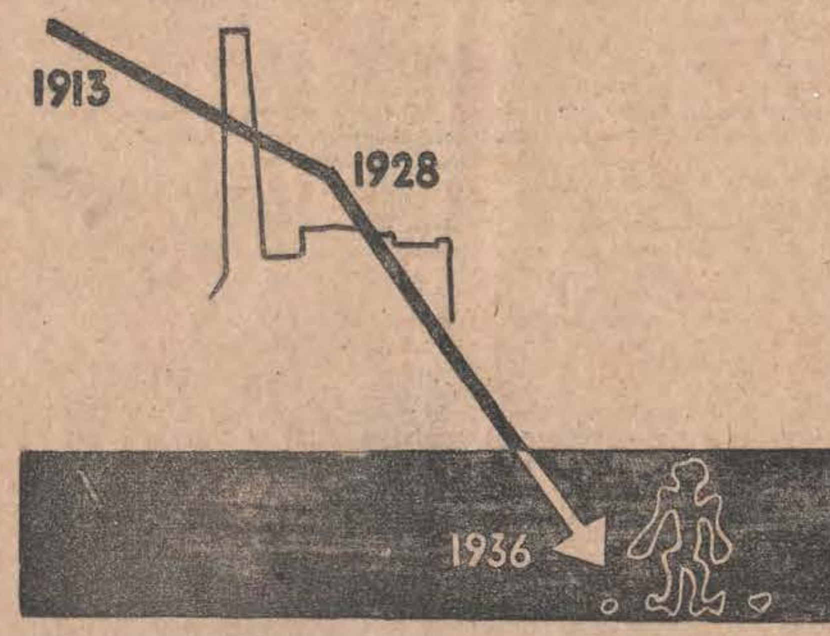
„Ziemia i jej dzieje": Marian Książkiewicz — „Jak woda zmienia powierzchnię ziemi?", Józef Fremik — „Czy wiatr jest naszym sprzymierzeńcem?" Władysław Pożaryski — „Jak się kształtowało oblicze ziemi?" Stanisław Karczewski — „Wulkany czynne i wygasłe". Marian Książkiewicz — „Jak powstają góry?" Franciszek Bieda — „Kto zapisywał kronikę ziemi?" „Co wiemy o początkach życia na ziemi?". „Średniowiecze dziejów ziemi".

„Ruchy i siły": Szczęsny Grzałowski — „Jak zważono Ziemię, Słońce i planety". Andrzej Kwiek — „O pracy i energii".

„Światło": Stanisław Ziemiecki — „Światło widzialne i niewidzialne". Włodzimierz St. Urbański — Analiza widmowa".

Władysław Strzemiński

BILANS KONCENTRACJI KAPITALISTYCZNEJ



CENA USTROJU KAPITALISTYCZNEGO

W artykule prof. S. Ossowskego „Teoretyczne zadania marksizmu" (Myśl Współczesna Nr 1 za 1948 r.) znalazłem zdanie, „dzieje społeczno - ekonomiczne ostaniego stulecia nie miały dokładnie takiego przebiegu, jaki zapowiadał Manifest Komunistyczny, nie urzeczywistniła się... polaryzacja w przekształcaniu się klas społecznych (proces zaniku klas pośrednich)".

Jeśli badać proces przekształcania się klas w ramach nie jednego społeczeństwa i jednego kraju, lecz proces polaryzacji, odbywający się w wymiarach światowych, nie w pionowej skali **jednego** kraju i **jednego** społeczeństwa — lecz proces w skali poziomej: postępujący proces koncentracji bogactw na terenie kraju najzamożniejszych, wówczas łatwo dowieść, że uciekają one z krajów ekonomicznie słabszych, powiększając tym samym ich niedostatek i przychodzą na teren krajów ekonomicznie silniejszych, wzmagając i bez tego znaczną ich zamożność.

W czasach sanacji podświadomym, niemal powszechnym pytaniem było: ku czemu Polska idzie?, tzn. w jakim punkcie rozwoju postępującego lub wstecznego jesteśmy? Cyfry statystyki dezorientowały — trudno było stwierdzić, jakie z nich i w jakim stopniu charakteryzują zjawiska konjunkturalne (kryzys), a jakie wyrażają ewolucję stałą.

Należało się zwrócić nie do absolutnych cyfr produkcji (które dawały obraz zamącony), lecz do wskaźników procentowych — do wskaźników procentowego udziału danego kraju w produkcji światowej. I wówczas cyfry przestały milczeć, wytyczając wyraźną linię ewolucyjną. Kraj, który zwyciężał w okresie konjunktury — zwyciężał również podczas kryzysu. Jeśli jego produkcja malała w okresie kryzysu — to jednak jej spadek był mniejszy, niż w kraju ekonomicznie zwyciężanym — a w okresie bezpośrednio przedwojennym, pokryzysowym, jego wzrost produkcji był znowuż stosunkowo większy, niż w kraju słabszym. Tak, poprzez wahania cyfr absolutnych przebijała stała linia wznoszenia się lub upadku danego kraju.

W zastosowaniu do Polski cyfry te wyglądały w sposób następujący:

	lata		
Węgiel kamienny w milj. ton	1913	1928	1936
Prod. światowa	1216	1251	1249
Produkcja Polski	41	41	30
% udział Polski w prod. światowej	3,4%	3,3%	2,4%
Węgiel brunatny:			
Produkcja światowa w milj. ton	127,1	213	205
Produkcja Polski	0,2	0,1	0,0
% udział Polski	0,16%	0,05%	0 %
Ropa naftowa:			
Produkcja światowa w milj. ton	53,7	183,8	246,5
Produkcja Polski	1,1	0,7	0,5
% udział Polski	2,08%	0,38%	0,2%

(dziesięciokrotna zniżka udziału Polski w prod. światowej)

Surówka:			
Produkcja światowa w milj ton	78,8	88,7	91,6
Produkcja Polski	1,1	0,7	0,6
% udział Polski	1,4%	0,8%	0,66%
Stal:			
Produkcja światowa w milj. ton	76,6	110	123,7
Produkcja Polski	1,7	1,4	1,1
% udział Polski	2,2%	1,3%	0,9%
Cynk:			
Produkcja światowa w tys. ton	976	1401	1444
Produkcja Polski	192	162	93
% udział	19,7%	11,6%	6,7%

(prawie 4-krotny spadek udziału)

Ołów:			
Produkcja światowa w tys. ton	1194	1762	1477
Produkcja Polski	45	37	15
% udział	3,8%	2,1%	1%

(prawie 4-krotny spadek udziału)

Sole potasowe:			
Produkcja światowa w tys. ton	1343	2280	2650
Produkcja Polski	2	58	84
% udział	0,1%	2,6%	3,2%

(wzrost, związany z wywozem do Niemiec, przygotowujących samowystarczalność rolnictwa).

Superfosfaty:			
Produkcja światowa w tys. ton	1225	1480	1437
Produkcja Polski	196	274	113
% udział	16%	18,5%	8%

(po przejściowych latach konjuktury nastąpiła zniżka)

Siarczan Amonu:			
Produkcja światowa w tys. ton	1361	4410	5213
Produkcja Polski	12	37	61
% udział	0,9%	0,8%	1,1%

(wzrost, związany z dostawami do Niemiec hitlerowskich, przygotowujących wojnę)

Wykorzystane zasoby sił wodnych (w milj. K.M.)

	1926	1935
wykorzystane zasoby światowe	33	55
Wykorzystane zasoby w Polsce	0,1	0,1
% udział Polski	0.3%	0,2%

To była cena, jaką Polska przedwrześniowa zapłaciła utrzymywanie ustroju kapitalistycznego. Cyfry wyjściowe drugiej niepodległości obracają się przeważnie w granicach 2% — 3%, a w niektórych gałęziach produkcji znacznie wykraczają poza tę normę (cynk — 1/5 produkcji światowej, superfosfaty — 1/6 produkcji świat.). Jeśli przyjmiemy, że ówczesna ludność Polski wynosiła około 1,5% ludności światowej — będziemy mogli obliczyć, że w przybliżeniu na każdego Polaka przypadało około 2 przeciętnych norm produkcji światowej. Tym się tłumaczy dość silne stanowisko Polski w zaraniu drugiej niepodległości. Polak był tym, który dwukrotnie przekraczał średnią normę światową.

Natomiast u schyłku drugiej niepodległości napotykamy same prawie ułamki procentowego udziału Polski. Ułamki, wahające się gdzieś w granicach około 1%. To znaczy, że na każdego Polaka wypadało około 2/3 średniej normy światowej. Wyścig pracy został przegrany. Z zażywnego Europejczyka z umiarkowanym brzuszkiem stoczył się Polak na poziom Zulusa, Buszmena i Hotentota. To było cena, zapłacona za rządy sanacji i za wierność systemowi kapitalistycznemu.

Wyścig pracy przebrany, ponieważ w wolnej nieskrępowanej grze sił gospodarstwa kapitalistycznego zwyciężyły te kraje, które dysponowały lepiej rozbudowanym aparatem produkcyjnym, lepiej zorganizowaną siecią komunikacyjną i tańszym kredytem. Te wszystkie składniki obniżyły ich koszta produkcji i ułatwiły im zwycięstwo w wolnej konkurencji na rynkach światowych. Przodujące kraje kapitalistyczne mogły produkować taniej i dlatego rozszerzyły rynki zbytu dla swej produkcji — i dlatego rozbudowały swoją produkcję. Ich produkcja wzrosła i wyparła Polskę z posiadanych poprzednio rynków zbytu. Produkcja Polski, tracąc rynki zbytu, musiała się kurczyć.

WIELKIE — POŚREDNIE — I ZACOFANE (BAZY SUROWCA I PRACY)

Zjawisko wypierane słabszych organizmów państwowych i powstawania nowych związków w gospodarce światowej możemy zaobserwować przy zestawieniu % udziału na terenie światowym:

Węgiel kamienny lata	1913	1936
produkcja światowa	1216	1249
USA (milj. tonn)	517	443
% udział	43%	35%
Anglia (milj. tonn)	292	232
% udział	24%	18%
Francja (milj. tonn)	44	45
% udział	3,6%	3,6%
Polska (milj. ton)	41	30
% udział	3.4%	2,4%
Indie Bryt. (milj. tonn)	16	21
% udział	1,3%	1,7%
Zw. Płd. Afr. (milj. tonn)	8	15
% udział	0,7%	1,2%

(przodujące państwa kapitalistyczne zniżają wydobycie wskutek przechodzenia na prąd elektryczny. Państwa pośrednie zachowują zdobyte pozycje lub też je tracą, nie mogąc wytrzymać konkurencji. Państwa kolonialne rozbudowują produkcję.)

Ropa naftowa lata	1913	1936
produkcja światowa (milj. ton.)	53,7	246,5
USA (milj. ton)	34	148
% udział	64%	60%
Polska (milj. ton)	1,1	0,5
% udział	2%	0,2%
Iran (milj. ton)	0,2	8,3
% udział	0,4%	3,4%
Indie Holend. (milj. ton)	1,5	6,4
% udział	3%	2,6%
Rumunia (milj. ton)	1,8	8,7
% udział	3,4%	3,5%
Peru (milj. ton)	0,3	2,3
% udział	0,6%	0,9%

Kraj pośredni (w danym wypadku Polska) traci swój udział w gospodarce światowej, USA zachowuje prawie niezmienną (mimo znacznego wzrostu cyfr absolutnych) swoją normę i, wraz z Anglią rozbudowują produkcję krajów zacofanych, włączając je w swój system imperialistyczny.

Surówka lata	1913	1396
produkcja światowa (milj. ton.)	78,8	91,6
USA (milj. ton)	31,8	31,5
% udział	40%	35%
Anglia (milj. ton)	10,4	7,8
% udział	13,3%	8,6%
Niemcy (milj. ton)	12,3	15,3
% udział	15,8%	17%
Francja (milj. ton)	8,9	6,2
% udział	11,5%	6,8%
Polska (milj. ton)	1,1	0,6
% udział	1,4%	0,66%
Indie Bryt. (milj. ton)	0,2	1,6
% udział	0,3%	1,7%

Grupa przodujących krajów kapitalistycznych zmniejsza nieznacznie swoją produkcję surówki i przechodzi do produkcji wyżej zorganizowanej. Kraje pośrednie tracą swój udział, i to tym więcej, im dany kraj słabszy ekonomicznie.

Bazą surowcową dla krajów przodujących stają się kraje zacofane, włączając się w system imperialistyczny przodujących krajów kapitalistycznych.

Stal lata	1913	1936
produkcja światowa (milj. ton)	76,6	123,7
USA (milj. ton)	31,8	48,5
% udział	42%	39,4%
Anglia (milj. ton)	7,8	12
% udział	10,3%	9,7%
Niemcy (milj. ton)	14	18,8
% udział	19,9%	15,3%
Francja (milj. ton)	7	6,7
% udział	9,2%	5,4%
Polska (milj. ton)	1,7	1.1
% udział	2,2%	0,9%

Przodujące kraje kapitalistyczne (USA, Anglia i Niemcy) potężnie rozbudowują swoją produkcję i za wyjątkiem Niemiec prawie utrzymują swój wskaźnik procentowy. Kraje pośrednie tracą swoją produkcję i we wskaźnikach względnych i w cyfrach absolutnych — i to tym więcej im dany kraj jest gospodarczo słabszy.

Aluminium lata	1913	1936
produkcja światowa (tys. ton)	64	364
USA (tys. ton)	21	102
% udział	32%	28%
Anglia (tys. ton)	8	16
% udział	12,5%	4,4%
Niemcy (tys. ton)	1	97
% udział	1,6%	26,6%
Francja (tys. ton)	15	27
% udział	23,4%	7.4%
Kanada (tys. ton)	6	26
% udział	9,3%	7,3%

USA znacznie rozbudowały swój przemysł aluminiowy i prawie zachowały swój wskaźnik procentowy. W innych krajach wskaźnik ten spada wskutek potężnych przygotowań wojennych Niemiec i wskutek wystąpienia na widownię nowego partnera, ZSRR — stojącego poza ramami świata kapitalistycznego. Spadek wskaźnika procentowego jest tym większy, im dany kraj jest gospodarczo słabszy.

Cynk lata	1913	1936
produkcja światowa (tys. ton)	976	1444
USA (tys. ton)	315	447
% udział	32%	30,9%
Anglia (tys. ton)	26	66
% udział	2,7%	4,6%
Belgia (tys. ton)	204	195
% udział	20,9%	13,8%
Franja (tys. ton)	64	54
% udział	6,5%	3,7%
Niemcy (tys. ton)	111	136
% udział	11,4%	9,4%
Polska (tys. ton)	192	93
% udział	19,7%	6,7%
Kanada (tys ton)	3	137
% udział	0,3%	9,4%
Australia (tys. ton)	4	72
% udział	0,4%	5%

Przodujące kraje kapitalistyczne nie tylko rozbudowują absolutnie cyfry swej produkcji, zachowując lub nawet podnosząc wskaźniki procentowe dynamiki rozwojowej, lecz równocześnie tworzą nowe ogniska produkcji (Kanada i Australia) włączone w ich aparat gospodarczo — imperialistyczny — jako baza surowcowa.

Kraje pośrednie tracą zarówno swe cyfry absolutne, jak i wskaźniki procentowe i to w tym większym stopniu, im dany kraj jest gospodarczo słabszy.

Miedź lata	1913	1936
produkcja światowa (tys. ton)	1030	1718
USA (tys. ton)	604	593
% udziału	58,6%	34,5%
Anglia (tys. ton)	52	9
% udziału	5%	0,5%
Chile (tys. ton)	20	245
% udziału	1,9%	136%
Rodezja Płn. (tys. ton)	1	145
% udziału	0,1%	8,4%
Kanada (tys. ton)	19	173
% udziału	1,8%	10%
Kongo Belg (tys. ton)	7	98
% udziału	0,7%	5,6%
Niemcy (tys. ton)	42	60
% udziału	4%	3,5%

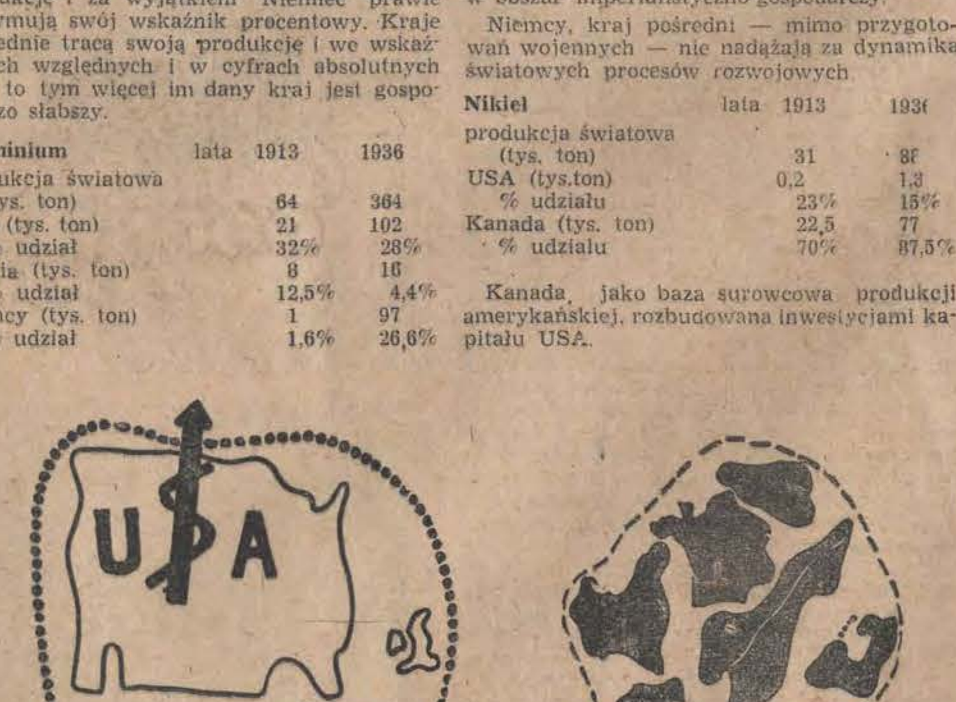
USA i Anglia zmniejszają swój udział w wydobyciu miedzi, jako nie opłacający się w krajach o wysokim poziomie życia. Spadek wydobycia w USA jest mniejszy wskutek wysokiej mechanizacji, zniżającej koszta produkcji.

Bazą surowcową tych dwóch krajów stają się kraje kolonialne, włączone tym samym w obszar imperialistyczno-gospodarczy.

Niemcy, kraj pośredni — mimo przygotowań wojennych — nie nadążają za dynamika światowych procesów rozwojowych.

Nikiel lata	1913	1936
produkcja światowa (tys. ton)	31	8[illegible]
USA (tys.ton)	0,2	1,3
% udziału	23%	15%
Kanada (tys. ton)	22,5	77
% udziału	70%	87,5%

Kanada, jako baza surowcowa produkcji amerykańskiej, rozbudowana inwestycjami kapitału USA.



Jan Maria Gisges

W I E R S Z E



NA PRZYCZÓŁKU SANDOMIERSKIM

Tamte spalone ogniem wojny chaty
jak nietoperze wieczorów umknęły
z pamięci. Mogiła za nowym płotem
trzy razy pozłacana liściem, słowem spływa
z powieści kobiety i krzepnie w łzie.

Świeże pachną chałupy żywicą i czerwcem,
kiedy przez drogę jasną dziecko pod pachą
wynosi ze szkoły, wzniesinej z cegieł
zburzonego dworu, dziecinny piękny świat —
zabawkę ofiarowaną przez nauczyciela.

Dziewczyna tę samą żwirowaną drogę
ledwo stopą muśnie w dwojakach niosąc
sytość strudzonemu bratu, który cięciem
kosy słońca promień i trawę przecina
na ziemi rozminowanej przez saperów.

Odchodzę w wieczór, kiedy chóry żabie
kładą noc na seledynowej smudze nowiu.
W echu mych kroków, lżejszych o zdrowy wsi uśmiech,
zostawiam radość dziewczynie o ustach z czereśni,
bom więcej znalazł siły, niż próchna i śmierci.

NAD STAWEM

Na wodzie srebrne liście księżyca pływają.
I gwiżdżą w gałęziach drzew opowieść o maju
płoche wiatry. Na brzegu wysmukłe nogi
wykwitły — złocienie — cicho jak czyjś dotyk,
aby w srebrze miesiąca odmłodzić zmęczenie.
O! Jakże bliskie wodom jest ludzkie marzenie
zmącone stopami lub spłoszone krokiem
nazbyt bliskim ażeby móc wstyd nakryć wzrokiem —
Na sterczące piersi i rozpuszczone kosy
powaby seledynu strząsają pokusy.
chłopcom w snach pieszczotliwie na ustach się kładą,
którym gorącość od dziecka dał bóg Łado.
Cienie nocnych powiewów przegięciem rozkoszy
nagiemu ciału wdzięku dodają i bose
odtąd czmychają wśród leszczyn, jeżyn i kalin,
by wreszcie spocząć liściem księżyca na fali —
W gałęziach drzew melodia tęskna zazielenia
namiętność wezbraną, co nieznana z imienia
kobietą jest kształtną i jak młodość ruchliwą
podglądającym oczom moim i satyra.

OPOWIEŚCI KRAJOBRAZU *)

Wieczór późnej poezji pod niskim pułapem
chmur, dobywszy jęku z wiatru rzucił ochłapem
ostatnim światła na brunatne bruzdy. Dymy
pastuszych ognisk zsunęły się nisko w rymy
powtarzanych zgrzytów, bo oto w tę ciszę,
w którą zmrok jak w album ten przejazd chwili wpisze —
nieobjętą spojrzeniem, wtoczyły się koła
dwóch wozów.

Topole jak ręce podparły czoło
zamyślone nieba, by łatwiej mogła obręcz
w koleinie wypisać wiersz o mdłym kolorze.
Nadwiślańskie ściernie w kroplach opadających liści
odpływały wstecz, a wsie szare uroczyście
jak w czas nieszporów okadzały swe ołtarze
z drzew. Na prawo gromada wron sponad cmentarza
zerwała spokój wiszący nad wzgórzem i złą
wróżbą określiła koło ponad siwizną
dymów.
Czas obłoki zamieniał na myśli....

*

Anno! Wonie ogrodu przyjmij za nadzieję
wiecznego nawrotu wiosny i łzę otrzyj
subtelnym podmuchem, który będzie ci słodszy
niż myśl o ustach z wisien. On ci rozwiele

na liściach lip tło twej sukienki
żałobnej, byś myślą miodną o czułkach pszczoły
wejrzała w sad, gdzie kwitną nowe strzały
na gałęziach rozchwianych i liściach cienkich.

Anno! Choć zginął twój żołnierz, inny z wiosny się wyłoni,
inni przyjmą jego wątłe światło, by rankiem
wyjść na boje. Tobie jabłko zostało w dłoni

nadgryzione, w którym odbije się jak w dzbanku
lot samolotu przestrzenią ujęty. Włos na twej skroni
jest jak dobrą wróżba. Oczy przemyj rumiankiem.

*) Wyjęte z tomu: Jan Maria Gisges — „Opowieści krajobrazu", Biblioteka Oddziału Wiejskiego Z.Z. L. P. 1948 r.

Ołów	lata 1913	1936
produkcja światowa (tys. ton)	1194	1477
USA (tys. ton)	420	362
% udziału	35%	24%
Niemcy (tys. ton)	147	139
% udziału	12%	9%
Francja (tys. ton)	29	15
% udziału	2,5%	1%
Polska (tys. ton)	45	15
% udział	3,8%	1%
Meksyk (tys. ton)	56	210
% udziełu	4,7%	14%
Kanada (tys. ton)	17	165
% udział	1,5	11%
Indie Bryt. (tys. ton)	7	74
% udział	0,6%	5%
Argentyna (tys. ton)	1	11
% udział	0,1%	0,7%

USA zmniejszają swoje wydobycie i wraz z Anglią rozbudowują bazy surowcowe we włączonych krajach obszaru imperialistycznego. Rozbudowując u siebie przemysły zorganizowane pod względem technicznym — przerzucają produkcję surowcową na kraje kolonialne, gdzie niższy poziom płac umożliwia rentowną produkcję. „Rozwój" krajów kolonialnych odbywa się dzięki prymitywnym warunkom życia i głodowym płacom.

Kraje pośrednie, które się nie zdobyły ani na najwyższą strukturę gospodarki kapitalistycznej, ani też jeszcze się nie stoczyły na najniższy poziom wegetacji — tracą swoje wskaźniki i ich aktywność gospodarcza zamiera a wraz z tym również i znaczenie tych krajów na świecie.

3) UCIECZKA PRODUKCJI I KAPITAŁÓW

Ewolucję w okresie międzywojennym możemy więc określić w sposób następujący:

a) **przodujące kraje kapitalistyczne.** Przesuwają swoją gospodarkę z produkcji niżej stojącej pod względem technicznym — na produkcję wyżej organizowaną. Rozwijają przodujące typy przemysłu. Zachowują, lub nawet powiększają swój procentowy udział w produkcji światowej.

Jeśli do ich produkcji dołączymy produkcje podległych im obszarów — wówczas wskaźniki te wykażą wyraźną zwyżkę nawet w tym wypadku, jeśli w macierzystym kraju produkcja ta ulega częściowej likwidacji, jako nie rentowna.

Tak wygląda np.

Miedź:

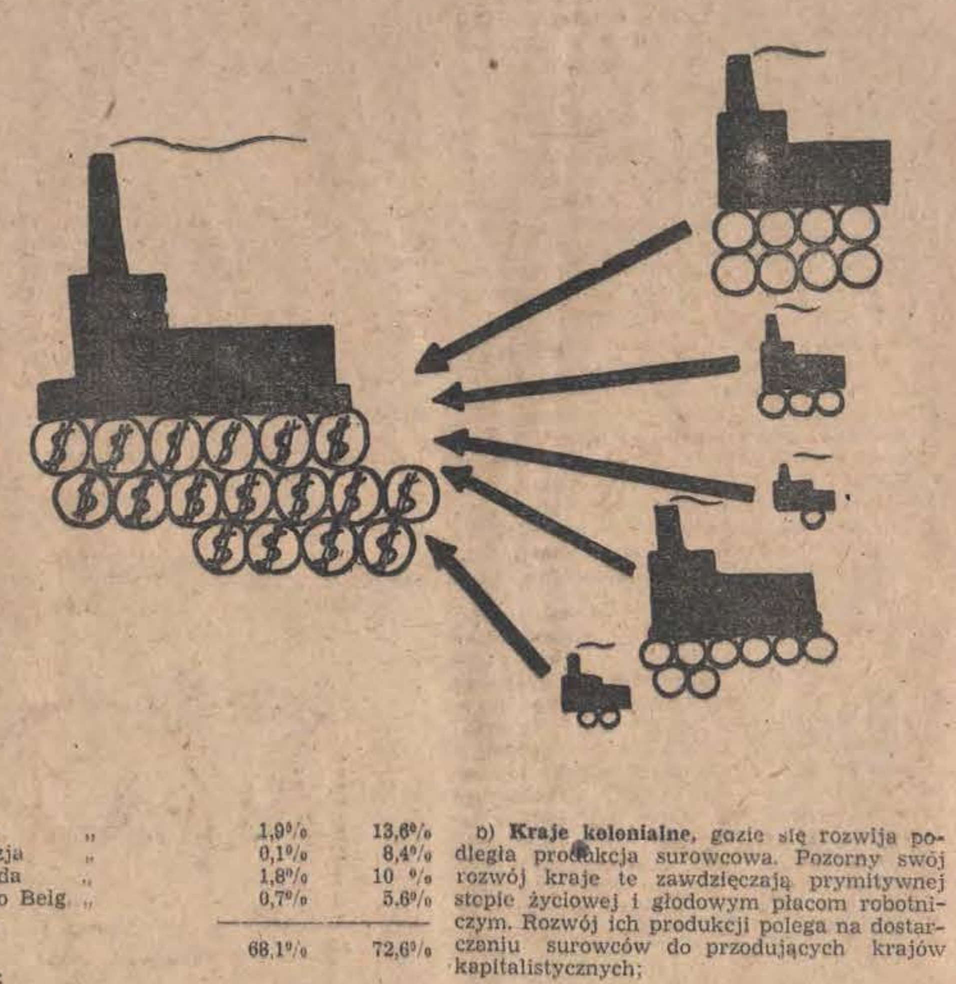
	lata 1913	1936
USA (% udziału)	58,6%	34,5%
Anglia	5 %	0,5%
Chile „	1,9%	13,6%
Rodezja „	0,1%	8,4%
Kanada „	1,8%	10 %
Kongo Belg. „	0,7%	5.6%
	68,1%	72,6%

Ołów:

USA (% udziału)	35 %	24 %
Meksyk „	4,7%	14 %
Kanada „	1,5%	11 %
Indie Bryt. „	0,6%	5 %
Argentyna „	0,1%	0,7%
	41,9%	54,7%

Cynk:

USA (% udziału)	32 %	30,9%
Anglia „	2,7%	4,6%
Kanada „	0,3%	9,4%
Australia „	0,4%	5 %
	35,4%	49,9%



b) **Kraje kolonialne,** gdzie się rozwija podległa produkcja surowcowa. Pozorny swój rozwój kraje te zawdzięczają prymitywnej stopie życiowej i głodowym płacom robotniczym. Rozwój ich produkcji polega na dostarczaniu surowców do przodujących krajów kapitalistycznych;

c) **Kraje pośrednie,** które nie mogą konkurować na rynkach światowych z krajami przodującymi ani też nie chcą zostać włączone w obszar ich imperializmu i być dostawcami dla nich surowców i produkcji niżej zorganizowanej i gorzej płatnej. Z krajów tych im są słabsze, tym więcej uciekło „cyfr produkcji" i wskaźników dynamiki rozwojowej. Jednym z krajów, który najsilniej ucierpiał w wyniku tego procesu — była Polska okresu sanacji.

Biorąc absolutne cyfry produkcji, możemy w przybliżeniu określić rozbudowę produkcji w okresie międzywojennym:

w Anglii — 0-50%
w USA — 0-100%

Dla sfinansowania tej rozbudowy służyły kapitały, zwolnione przez malejącą produkcję krajów pośrednich. Kapitały te uciekały do Anglii i USA. W ślad za malejącą produkcją krajów pośrednich, która uciekała z nich, zdążały uciekające kapitały. Obok **ucieczki produkcji** z krajów pośrednich do krajów przodującego kapitalizmu — **ucieczka kapitałów** w tym samym kierunku stanowi drugą charakterystyczną cechę tego okresu.

Lecz ucieczka kapitałów była silniejsza niż ucieczka produkcji. Kapitałów tych napłynęło tyle, że wystarczało ich nie tylko na potężną rozbudowę produkcji, lecz pozostały na dodatek wolne, nie zainwestowane kapitały, które obniżyły istniejące w tych krajach stopę procentową.

Stopa procentowa:	1913	1937
USA	3,8%	1,3%
Anglia	4,7%	2 %

W tym samym czasie we Francji stopa procentowa pozostała, jak była 4—5%.

Tak powstał paradoks: w krajach, gdzie rozbudowywana produkcja wymagała olbrzymich kapitałów — tam kapitałów tych było więcej niż wynosiło zapotrzebowanie. Nastąpiła zniżka procentu. Natomiast w krajach, gdzie malejąca produkcja wymagała zmniejszonej ilości kapitałów — tam kapitałów pozostało jeszcze mniej, niż wymagała produkcja. Stopa procentowa wzrosła do granic, uniemożliwiających rentowność produkcji. Nastąpiły interwencje rządowe i zjawiły się rozmaite stopy procentowe (ulgowa, legalna i nielegalna) funkcjonujące obok siebie. W faszystowskich i półfaszystowskich państwach Europy środkowo-wschodniej najtrudniej było ustalić rzeczywistą istniejącą stopę procentową. Mniej więcej jednak można je było określić w granicach od 6% (ulgowa rządowa) do 15% (w krajach prymitywniejszych w dyskoncie prywatnym).

Najcharakterystyczniejszym procesem, dokonanym w świecie kapitalistycznym okresu międzywojennego byłyby więc:

1) ucieczka produkcji i jej koncentracja w krajach najsilniejszych.

2) jeszcze gwałtowniejsza ucieczka kapitałów do tychże krajów.

Wojna tylko wzmogła ten proces — proces geograficznej koncentracji i polaryzacji.

Władysław Strzemiński

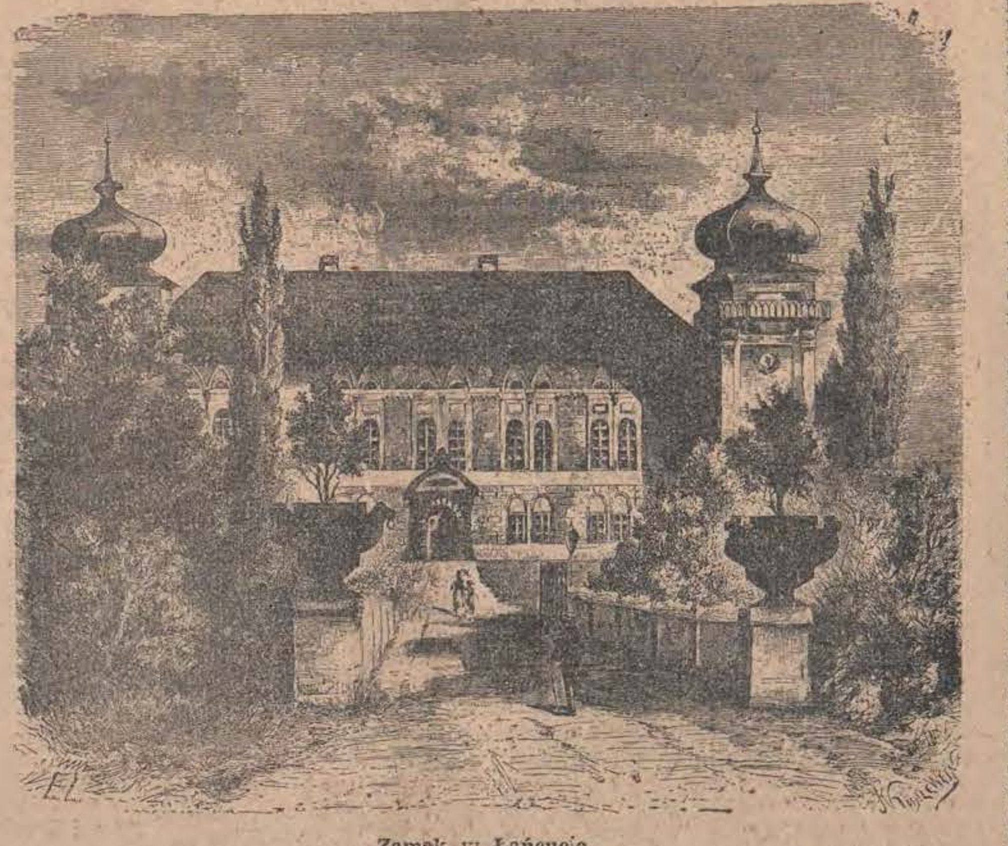
Witold Łukaszewicz

W GNIEŻDZIE ŁAŃCUCKICH FEUDAŁÓW

W dniach 28—30 maja br. obradował w zamku łańcuckim ogólnopolski zjazd delegatów Polskiego T-wa Historycznego. Tematem prac plenum i poszczególnych sekcyj były sprawy dotyczące dwuletniej działalności Towarzystwa oraz ustalenie wytycznych na najbliższą przyszłość w zakresie organizacji nauki historycznej. Naczelne miejsce w porządku obrad zajmowała sprawa jesiennego zjazdu historyków we Wrocławiu.

W naradach łańcuckich wzięli udział przedstawiciele wszystkich ośrodków P. T. H. w Polsce w liczbie około 80. Po raz pierwszy w swych dziejach Zamek łańcucki otworzył swe podwoje na przyjęcie tak licznej rzeszy uczonych, z których ogromna większość wyszła spod strzechy wieśniaczej i ze środowiska robotniczego. Był to wyłom w łańcuckiej tradycji, owianej wspomnieniami wspaniałych fet hetmańskich, marszałkowskich, królewskich, cesarskich... Łańcut, gniazdo polskich feudałów, odgrodzony od Polski Ludowej przez wieki żelaznym parkanem, fosą i basztami przestał być wyspą „wspaniałej izolacji". Sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Lud w dniach sierpniowych 1944 roku wtargnął do łańcuckich Tuileries, niestety nie zastał tam ich właściciela Alfreda hr. Potockiego, IV Ordynata na Łańcucie, który w otoczeniu gestapowców i swych krewniaków — książąt Lichtensteinów uchodził do Reichu. Na otarcie łez uwoził za sobą pan hrabia 11 wagonów najcenniejszych rzeźb, obrazów, porcelany, gobelinów, dywanów, mebli, uprzęży itp. W drżących od strachu przed armią czerwoną wypielęgnowanych łapkach „tulił" pan Alfred hr. Potocki średniej wielkości wazę, za którą wędrowcy zza oceanu ofiarowywali mu w swoim czasie równowartość całego pałacu łańcuckiego w złotych dolarach. Dziś błękitnokrwisty uciekinier spędza słodko „wygnanie" w górzystej Szwajcarii, czekając aż cofnie się koło historii. Śni mu się zapewne nieraz gabinet w rodzinnym zamku, położony tuż obok kaplicy, ozdobiony bronią po przodkach odziedziczoną i... fotografiami czarującej Mariny w różnych pozach z ujmującą dedykacją. Piękna, wysmukła, z obnażonymi kusząco ramionami, opuszczona przez kochanka, więdnie Marina w mrocznym gabinecie pod surowym spojrzeniem profanów.

Koło historii mknie naprzód.



Zamek w Łańcucie

ZA KURTYNĄ PRZESZŁOŚCI ŁAŃCUTA

Zamek łańcucki zbudował w stylu odrodzenia w r. 1641 podczaszy koronny, później wojewoda ruski, Stanisław Lubomirski. Otoczył go murem z basztami obronnymi i 80 działami oraz fosą. Przy zamku kwaterowało 400 uzbrojonych ludzi i była żywność na trzy lata. Komnaty urządził po staropolsku, bogato, ale bez przesady, zaopatrzył w meble solidnej, krajowej roboty, mocne, choć niezbyt wygodne. Zwierciadła sprowadził z Wenecji, broń skąd się dało, makaty i dywany ze Wschodu. Pan wojewoda nie lubował się zbytnio w pieścidełkach. Dbał więcej o żołądek niż o sztukę. Dla braci szlachty trzymał w piwnicach 400 beczek wina.

Innego zdania byli jego potomkowie. Dla nich treścią życia było wicie gniazdka na wzór wersalski. Wiek XVIII miał swoje prawa i ambicje. Magnateria polska rujnowała się, sadząc się na upiększenie i unowocześnienie własnych pałaców. Przodowali w tym wyścigu Czartoryscy, Radziwiłłowie... Zaćmił wszystkich Stanisław August Poniatowski. Lubomirscy nie mogli być gorsi od litewskiego stolnika na tronie. Zamek łańcucki zmienił szatę. Postarał się o to Stanisław Lubomirski, marszałek wielki koronny, mąż najdumniejszej kochanki Stanisława Augusta — Elżbiety z Czartoryskich. To ona „nacisnęła" w r. 1783 małżonka, aby mimo złego stanu zdrowia przebudował zamek i jego wnętrza przyozdobił w stylu barokowym. Śmierć marszałka nie powstrzymała rozpoczętych prac, owszem ułatwiła tylko wdowie gospodarowanie olbrzymią fortuną według własnego widzimisię.

Marszałkowa Elżbieta Lubomirska podjęła kosztowną rywalizację ze swą bratową Izabellą z Flemmingów Czartoryską, panią na Puławach i Powązkach. Łańcut miał swą okazałością i bogactwem artystycznym przewyższyć rezydencje Czartoryskich, Radziwiłłów nieborowskich i nieświeskich, Wersal białostocki Izabelli Branickiej, ba — miał dorównać Zamkowi królewskiemu w Warszawie. Idylla z kochanym od młodości Stasiem już dawno przeminęła. Marszałkowa podtyła, postarzała się nieco, miała dorodne córki, miała zięciów — trzech przybiedzonych Potockich: braci Ignacego i Stanisława Kostkę, ich kuzyna Jana, oraz możnego warchoła Seweryna Rzewuskiego. Rządziła nimi po dyktatorsku pobrzękując dla większej powagi sakiewką z dukatami. Zięciowie pokornie słuchali, ale w głębi duszy nienawidzili herod - teściowej, jak ona nienawidziła ich. Córki, chociaż po różnych ojcach de facto a nie de nomine, z szacunkiem wspominały zmarłego marszałka, a dla mamy okazywały mało serdeczności. Elżbieta Lubimorska nie lubiła bowiem swych córek. Chciała ona mieć syna, a los obdarzył ją córkami. Wzięła więc na wychowanie swego młodego kuzyna — Heniusia Lubomirskiego — i uczyniła go swym „oczkiem w głowie". Córki i zięciowie złościli się z tego powodu, lecz byli wobec mamusi bezsilni.

AFERA TRUCICIELSKA I MISTERIA PARYSKIE

W r. 1785 imię marszałowej Lubomirskiej stało się bardzo głośne w Rzeczypospolitej, a nawet i na Zachodzie. Powodem była afera trucicielska, uknuta przez awanturnicę Marię Teresę Dogrumową, żonę oficera rosyjskiego. Oskarżyła ona w styczniu t. r. gen. Komarzewskiego szefa gabinetu wojskowego Stanisława Augusta i kamerdynera Ryxa o usiłowanie otrucia Adama Kazimierza Czartoryskiego, generała ziem podolskich z nastawienia samego króla. Komarzewski i Ryx byli zaufanymi dworzanami Stanisława Augusta. Za Dogrumową stała jako protektorka marszałkowa Lubomirska i jej zięciowie Potoccy. Przeprowadzone drobiazgowe śledztwo wykazało bezpodstawność oskarżenia i skompromitowało Czartoryskiego i Lubomirską. Dogrumową napiętnowano publicznie żelazem i osadzono w lochu w twierdzy gdańskiej. Czartoryski zapłacił grzywnę. Sprawa Dogrumowej wykopała przepaść między „Familią" i Stanisławem Augustem, której nie zdołał zapełnić sejm pojednawczy 1786 r.

Rozgoryczona na sędziów i króla Lubomirska przed wstydem publicznym wyjechała za granicę. Kamerdyner Ryx, który pełnił na zamku obowiązki dostawcy nałożnic dla króla, mawiał po wyjeździe marszałkowej, że afera trucicielska była z jej strony aktem zemsty na nim za to, że przed kilkunastu laty jednymi drzwiami wyprowadzał z sypialni Stanisława Augusta panią na Łańcucie, a drugimi za chwilę wpuszczał jej bratową Izabellę Czartoryską, której mąż w tym czasie znajdował się w pobliżu i drżał z obawy, aby się tylko te dwie damy ze sobą nie spotkały. (Uwaga: Pamiętniki Ryxa w manuskrypcie są w posiadaniu prywatnym. Autor artykułu ma nadzieję, że uda mu się je kupić).

Marszałkowa Lubomirska włócząc się po niemieckich „badach" wraz z Heniusiem, jego wychowawcą Scypionem Piattoli, oraz czeredą służby, zawitała w r. 1789 do Paryża i zajęła całe skrzydło w Palais - Royal. Stanisław August w obawie intryg marszałkowej przeciw sobie na dworze wersalskim i w kołach arystokracji francuskiej roztoczył przez swych agentów dyplomatycznych w Paryżu: Glayre'a a później Filipa Mazzei'ego ścisły nadzór nad Lubomirską, która zaczęła rządzić w Palais-Royal jak u siebie w Łańcucie. Rolę doradcy i cicerona pełnił przy niej osiadły od lat kilku w Paryżu ex-marszałek nadworny i towarzysz uciech petersburskich Ciołka - Poniatowskiego, elegant i rozpustnik na miarę światową — Franciszek Rzewuski. Roztrwaniał on w ciągu roku pół miliona liwrów i był patronem szulerni polskiej t. zw. Club Polonais, która mieściła się w Palais - Royal pod nr. 145. Niebawem znaleźli się w otoczeniu Lubomirskiej: córki Aleksandra Potocka, żona Stanisława Kostki i Konstancja Rzewuska z mężem Sewerynem, hetmanem koronnym, oraz „niepoprawny" zięć Jan hr. Potocki, dziwak, pisarz i podróżnik.

Marszałkowa zachorowała w Paryżu na mesmerowski zwierzęcy magnetyzm i chciała się przy jego pomocy odmładzać. Roli odmłodziciela podjął się za sutą opłatą, asystent Mesmera, oszust hr. La Motte. Piattoli poszedł w odstawkę, Heniuś się rozbeczał, nic to wszakże nie pomogło, magnetyzm La Motte'a był silniejszy od łez dziecięcych. Zrozpaczony l'abate Piattoli opuścił Paryż i korzystając z protekcji Mazzei'ego został przyjęty na lektora przez Stanisława Augusta. Dzięki takiemu obrotowi sprawy wszedł Piattoli do kółka współtwórców Konstytucji 3-go Maja 1791 r.

Nie ma takiego dziwactwa, coby na dobre nie wyszło. Magnetyzm zwierzęcy marszałkowej Lubomirskiej i geneza polskiej rewolucji majowej — to dwie sprawy dość ściśle ze sobą związane.

Kuracja La Motte'a nie dała pozytywnych wyników. Córki coraz głośniej pokpiwały sobie z mamusi, zięć Jasio Potocki puścił w obieg kilka paszkwilów na teściową w języku francuskim, powstał mały skandalik, kłótnia w rodzinie, w wyniku której marszałkowa zamknęła wypłaty zięciom. Rozwój wydarzeń rewolucyjnych wystraszył Lubomirską z Paryża. Arystokracja i dwór poszły w rozsypkę. Rewolucyjna burżuazja przy pomocy plebsu miejskiego i chłopów burzyła gmach monarchii feudalno - absolutnej Ludwika XVI.

Wersal przestał być atrakcją, król z rodziną i zausznikami był więźniem paryskiej „kanalii" w Tuileries. W Paryżu wyżywały się jeszcze żądne wrażeń: Rozalia z Chodkiewiczów Lubomirska, żona Aleksandra, znanego dusigrosza, magnata kresowego, Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa, bratanica króla, oraz próbowała szczęścia mocno zdziobaciała Izabella z Flemmingów Czartoryska, późniejsza „matka Spartanka". Marszałkowa miała węch niezły. W powietrzu czuła zapach błękitnej krwi i wzdrygała się na samą myśl o zimnej stali gilotyny. Zawczasu spakowała manatki i opuściła Francję, udając się do Szwajcarii. Robiła stąd wypady do Włoch, Rzeszy Niemieckiej, by po latach wrócić do Łańcuta. Rezultatem włóczęgi marszałkowej zagranicą w różnych latach były cenne nabytki sztuki dla zamku łańcuckiego: wspaniałe meble w stylu Ludwika XVI i Empire, gobeliny i dywany, brązy, porcelany wersalskie, wiedeńskie, japońskie i chińskie. Uzupełniały je wyroby z Korca, z Marymontu i innych manufaktur krajowych. Mogły one bez ujmy stać w Łańcucie obok historycznego serwisu Kara Mustafy z r. 1683.

Oprócz wzmiankowanych nabytków zyskał pałac łańcucki dzięki Lubomirskiej cenną galerię obrazów z arcydziełami Tycjana (Wypędzenie przekupniów ze Świątyni), obrazy Watteau, Bouchera'a, Fragonarda, portret królowej Marii Antoniny Kucharskiego, drogocenne płótna mistrzów holenderskich, włoskich innych.

Wspaniale urządzoną galerię rzeźby na pierwszym piętrze przyozdobiły nabytki z Włoch, głównie dłuta Canovy, oraz całe kolekcje wykopalisk starożytnych. Galeria ta zachowała się do dziś prawie w pierwotnym stanie, a przemiła postać amorka Canovy zachwyca widzów swym urokiem. Starannie dobrane kolekcje rycin polskich, francuskich, angielskich, starych monet, uzupełniały skarby rzeźbiarskie. Dobrze skompletowana biblioteka bogata w starodruki polskie i francuskie, powiększona nowymi nabytkami przez spadkobierców Lubomirskiej, zachowała się do dziś w dobrym stanie i stanowi przedmiot zachwytu dla ludzi nauki. Niezwykle bogaty jest w tej bibliotece dział francuskich i angielskich memuarów z 18-go i 19-go wieku oraz komplety ważnych czasopism obcych i krajowych. Urządzenie biblioteki zostało dokonane z uwzględnieniem maksymalnych wygód czytelnika (wygodne fotele do pracy w pozycji siedzącej i leżącej).

ŁAŃCUT POD RZĄDAMI POTOCKICH

Po śmierci marszałkowej Lubomirskiej (1816) na skutek podziału majątkowego, zrobionego w Brzeżanach Łańcut przeszedł w posiadanie Alfreda hr. Potockiego, ojca namiestnika Galicji i jego potomstwa. Potoccy niewiele wnieśli, gdy chodziło o skarby artystyczne do zamku łańcuckiego. Byli odmiennego autoramentu niż Czartoryscy i Lubomirscy. Pociągały ich bardziej sprawy gospodarcze niż kulturalne we właściwym znaczeniu tego słowa. Byli zresztą arystokracją drugiego rzędu, tuczącą się na bogatych ożenkach i spadkach przy bezprzykładowym wprost wyzysku pańszczyźnianego chłopa.

W tych warunkach klucz łańcucki się rozrastał, uprzemysławiał, kasa zamkowa pęczniała, do głowy ordynatów przychodziły różne fantazje. Potoccy lubowali się w koniach i powozach. Roman hr. Potocki ur. w 1851 r., syn namiestnika, III ordynat na Łańcucie (ordynacja istniała od 1838 r. i liczyła 56 folwarków i wsi) był szczególnie łapczywym dusigroszem. Czapką i papką ujmował dostojników cesarza Franciszka Józefa I, a jego samego aż dwukrotnie podejmował w zamku łańcuckim. Lał się wówczas szampan strumieniami, kwitła w zaciszach kilkusetletniego parku rozpusta, bratali się ze sobą różnoplemienni „poddani" c. k. Mości.

A na imieniny jaśnie pana hrabiego nadchodziły bogate upominki od cesarzy z Wiednia i Berlina. Potocki Roman był zadowolony z siebie, z żony, ze swych gorzelni, arabów, psów myśliwskich i powozów. Powozy — to była jego mania. Co pewien czas kupował wehikuł w Wiedniu bądź w Paryżu, odnawiał i stawiał do wozowni. Gdy umierał miał ich już całą kolekcję, coś około 60 z różnych czasów: od 17-go do 20-go w.

Syn Alfred przejął ordynację po ojcu i w uznaniu jego zasług dla dynastii łańcuckiej wmurował na pierwszym filarze w holu zamkowym złoconą tablicę z następującym napisem:

„Roman Potocki, III ordynat na Łańcucie, ur. 16.XII 1851 r., ojcowiznę przodków w całości zachował, pomnożył, potomkom nietkniętą przekazał. Zamek łańcucki ojczystymi pamiątkami wzbogacił, dziełami sztuki ozdobił, pięknością tradycji pokoleń minionych godną otoczył; wśród wojennej burzy wszechświata, wolnej ojczyzny nie doczekawszy, w rodzinnym gnieździe łańcuckim, od nawałnicy nietkniętym, życia dokonał 24.IX.1915". Ciekawy jest ten pośmiertny wyraz uznania syna dla ojca, który krwawym potem fornali i nędzarzy wiejskich „ojcowiznę przodków pomnożył". Wzmianka o ojczyźnie zjawiła się w tym arystokratycznym hołdzie jak wyświechtane amen w bełkotanym machinalnie pacierzu.

Roman hr. Potocki jeszcze za życia poznaczył wzniesione przez siebie budowle inicjałami „R.P.", poznaczył nimi liberię lokajów i pozostałej służby, powozy itp. akcesoria pociągowo-wyścigowe. Nie wiem, czy naznaczył również małżonkę, aby mu przypadkiem w rozgardiaszu towarzyskim i przy licznych wyjazdach na bale dworskie w Wiedniu, Berlinie, Paryżu, Londynie nie przepadła? Koniuszy hr. Alfreda Potockiego, który do dziś uchował się w Łańcucie i pilnuje z ramienia Ministerstwa Kultury kolekcji powozów, nie mógł mi w tej sprawie udzielić całkiem pewnych informacji.

ALFRED HR. POTOCKI

Gdy wstąpiłem do kaplicy zamkowej na parterze, gdy ujrzałem wspaniałą materią wyścielone puchowe klęczniki i fotografie pośmiertne tych, co się na nich modlili, gdy wczytałem się w tasiemcowe błogosławień-



Pawilon Alfreda hr. Potockiego, namiestnika Galicji, na wystawie we Lwowie

stwa i odpusty z autografami papieży dla nieżyjących Potockich, mimowoli pomyślałem, że i ten ostatni zmarły c. k. Roman hr. Potocki śladem swych przodków: rokoszan i rozpustnic na pewno dostał się do nieba. Był przecież od nich bardziej rządny, czołobitny przed majestatem monarszym, nie używał zwierzęcego magnetyzmu, przeciwnie, pozostawił synom pewnego rodzaju, do siedmiu wskazań skrócony, dekalog arystokratycznego żywota, wypisany dużymi literami przy głównym wejściu na schody, prowadzące z parteru na pierwsze piętro zamkowe od frontu. Oto treść tatusiowych przykazań:

„Nieprzyjacielowi — ostro.
Niepewnemu — ostrożnie.
Ubogiemu — łaskawo.
Doma — nie hardo.
Przyjacielowi — układno
Gościowi — wdzięcznie.
Gdy potrzeba — pańsko.“

Jak syn korzystał z ojcowskich sentencji, pokazały najbliższe lata. Było to już za niepodległej Ojczyzny, której nie dożył autor dekalogu, gdzieś po roku 1922. Uczeń IV klasy gimnazjalnej, syn chłopa łańcuckiego, zabił w parku zamkowym królika. Służba doniosła o tym natychmiast hr. Alfredowi. Ten się rozsierdził okrutnie i postanowił sprawcy doraźnie wymierzyć sprawiedliwość. Polecił lokajom przyprowadzić chłopca do swego gabinetu, a gdy to nastąpiło, oświadczył mu, że ma do wyboru: 1) albo podpisanie podania do dyrekcji szkoły z prośbą o wykreślenie z listy uczniów, 2) albo 25 szpicrut po cienkich porciętach. Chłopiec wobec widomej przemocy po krótkim namyśle wybrał drugi rodzaj kary. Lokaje rozciągnęli ucznia na drogocennej makacie, a hr. Alfred Potocki własnoręcznie odliczył 25 razów. Posiniaczony uczniak zacisnął zęby i ledwie zdołał o własnych siłach wyjść z zamku, hrabia bowiem miał rękę ciężką, uderzenie wprawne i silne, wyćwiczone przy grze w polo.

Ojciec pobitego wniósł skargę do sądu we Lwowie. Powstał huczek w prasie, która przypomniała hrabiemu i publiczności obyczaje francuskich feudałów sprzed Wielkiej Rewolucji, gdy za zabicie królika chłopu obcinano uszy i zsyłano na galery, bądź w drodze łaski przetrącano kijami kości. Sąd skazał hr. Alfreda Potockiego na wysoką grzywnę pieniężną. Hrabia zapłacił w myśl ojcowskiej maksymy: „Gdy potrzeba — pańsko”, zapominając o tym, iż miał być „doma nie hardo” i „ubogiemu łaskawo”.

ZABAWY JERZEGO HR. POTOCKIEGO, BRATA ALFREDA

Braciszek pana Alfreda, trochę niedonoszony (późniejszy ambasador Polski w Waszyngtonie), miał oryginalne upodobania. Zakładał do eleganckiej dwukółki lub fiakra ognistego araba i wypuszczał się samotnie na przejażdżkę po okolicznych drogach. Gdy napotkał Żyda handlarza lub wiejską dziewuchę zdejmował czapkę i zapraszał uprzejmie do siebie, proponując podwiezienie. Ujęty grzecznością woźnicy-hrabiego Żyd lub dziewczyna przyjmowali zaproszenie. Hrabia powoził przez pewien czas normalnie, nagle podcinał konia, wyskakiwał z pojazdu i rzucał lejce. Arab podrywał się do galopu i pędził jak oszalały z oniemiałym ze strachu pasażerem. Jazda taka zazwyczaj kończyła się cięższym poturbowaniem jadącego. O tych wyczynach hrabiowskiej latorośli opowiadał koniuszy — Anglik zwiedzającym wozownię Potockich w Łańcucie. Atrakcją tej wozowni jest „powóz dla zakochanych”, używany przez Alfreda Potockiego i jego brata do tzw. „gołębich przejazdów”. Wejście do powozu było od tyłu i zamykało się wylakierowaną zasuwą drewnianą. Siedzenie szerokie, wyściełane poduszkami miało kształt kanapy. Kuczer siedzący na wysokim koźle nie miał żadnego wglądu do wnętrza. Na takie pomysły puszczali się synkowie hr. Romana Potockiego. Nie trzeba dodawać, że błękitnokrwiste dziewoje i matrony na ogół chętnie korzystały z powozu i zachwycały się postępem techniki pojazdowej.

PRZESZŁOŚĆ NIE WRÓCI

Zamek w Łańcucie przetrwał szczęśliwie również drugą wojnę światową, ale tym razem bez ordynata. Odarte z cennych płócien plafony w narożnym gabinecie za galerią rzeźb, oraz ślady po obrazach na ścianach są wymownym aktem oskarżenia na IV ordynata Alfreda hr. Potockiego. Uciekł on przed wymiarem ludowej sprawiedliwości jak wielu innych krajowych feudałów. Ogołocił poważnie swoje gniazdo, zbrukawszy je uprzednio i okrywszy niesławą zdradzieckich zakulisowych pertraktacji z dygnitarzami hitlerowskimi. Na długo przed wybuchem drugiej wojny światowej, w komnatach i w powozach łańcuckich lęgła się zdrada własnego narodu. Międzynarodowi faszyści znajdowali u pana hrabiego dobry wikt i sute wsparcie. Rozpychali się w empirowych fotelach, wylegiwali się pod baldachimami na ludwikowskich łożach żarli ze złoconych naczyń i pili na umór, puszczając się w tany po inkrustowanych posadzkach. A wokół dygała służba w liberiach poznaczonych herbami i znakami dynastii łańcuckiej.

Dziś jest w Łańcucie inaczej. Po inkrustowanych w wyszukane wzory posadzkach suną para za parą chłopskie dzieci z okolicy, zwiedzając pod kierunkiem przewodników zamek łańcucki, zamieniony na ośrodek muzealny przez Ministerstwo Kultury. Przyłączam się do jednej z grup wycieczkowych i oglądam uważnie zwiedzających. Twarze ogorzałe od słońca, ubranka proste, płócienkowe, na nogach drewniane trepki. Dużo dzieci jest w ogóle bez obuwia, poprostu zupełnie boso. W rękach trzymają skromne zawiniątka, w nich parę skibek chleba i po kilka jaj. Idą powoli z komnaty do komnaty, otwierają z podziwu usta i patrzą jak oczarowani, niepewni czy to bajka czy rzeczywistość. Wśród ciszy padają słowa przewodnika, który tu w zamku na służbie u jaśnie pana spędził pracowicie chłopski żywot: „Potoccy żyli naszym potem, z naszej nędzy. Kratami odgradzali się od masy ludowej. Zamek łańcucki był osobliwą wyspą w Rzeczypospolitej. W jego salonach marnotrawiła międzynarodowa arystokracja wyciśnięte z ludu miliony. Bogactwo łańcuckich feudałów — Potockich należy do narodu, bo oni mu je skradli. Hr. Alfred złodziejstwo połączył ze zdradą odradzającej się Polski, demokracji ludowej. To przestępca wojenny”.

W tym momencie spostrzegam, jak jeden z chłopców nieznacznym ruchem odrzucił na bok szmaciany pantofel-ochraniacz, który miał na swych bucikach i obcasem uzbrojonym w podkówkę zaczął rysować ułożoną w sześciany posadzkę chińskiego gabinetu. Spojrzałem karcąco na niego, chłopiec zaczerwienił się i skrył się za plecami kolegów. Po chwili wyjrzał, oczy mu się iskrzyły dziwnym blaskiem. „Przepraszam pana — wyrzekł — zapomniałem o tym że Potoccy nie wrócą, że to wszystko już nasze”.

Przez otwarte okna sali balowej i jadalni dobiegły moich uszu wesołe gwary. To historycy kończyli wspólnym posiłkiem swoje obrady. Zebrani grupkami wychylali po kieliszku wiśniaku, pili panu hrabiemu na pohybel. Urągali łańcuckiej kulinarnej tradycji. Na stołach proste talerze, zupa w wazach i po kotlecie dla każdego gościa. Skromnie, nieprawdaż? Rzucam wzrokiem na wiszący na przeciwko portret Heniusia Lubomirskiego. W dziecięcych oczach maluje się zakłopotanie. Usta nawpół otwarte, jakby rzucały pytanie: „Czy to możliwe, tu w Łańcucie?“ Czy to możliwe? Tak, to rzeczywistość nowa, polska, nie jaśniepańska, to nie ułudny sen. Historia wyprzedziła mocno historyków.

W parku pod rozłożystą lipą piechur z KBW ściska chłopską dziewczynę. Oboje wpatrzeni w siebie... Po chwili ona go karmi cukierkiem. A w wozowni mole gryzą zawzięcie puchowe poduszki w powozie dla zakochanych. Niech gryzą, uczniak miał rację — Potoccy nie wrócą do Łańcuta.

Witold Łukaszewicz

Józef Prorok

KULTURA PARAFIALNA

OD REDAKCJI

(Niejednokrotnie już na łamach naszego pisma rozpatrywaliśmy zagadnienia wsi polskiej z przełomu XIX i XX wieku. Jest to początek okresu budzenia się świadomości społecznej chłopów, podnoszenia się życia gospodarczego i kulturalnego, przechodzenia od stosunków pańszczyźnianych do wolnej gospodarki, a jednocześnie okres proletaryzowania się, tragicznego w swej bierności wmontowywania w stosunki wytworzone przez kapitalizm.

Charakterystyczną cechą tych procesów jest także, że dokonywały się w ramach grup lokalnych: w rodzinach, wsiach, parafiach, okolicach. Normy ogólnej w ich ocenie zastosować nie sposób, gdyż warstwa chłopska była niejednolita tak pod względem strukturalnym, jak i pod względem postaw społecznych. Przebieg tych procesów daje się świetnie uchwycić w przekrojach lokalnych. W poniższych dwóch rozdziałkach większej monografii Proroka Józefa dotyczącej Poronina, sprawy te widoczne są jak na dłoni. Oto widzimy model dziejów wsi parafialnej: remonty, przebudowy, rozbudowy, nowe budynki parafialne, kościół i w ogóle zespolenie i związanie zainteresowań parafian z tym centralnym punktem okolicy. Z tej pozycji ostrzeliwuje się parafię: ksiądz zakłada dla chłopów kasę Raiffeisena, Kółko Rolnicze, walczy z Żydami i pijaństwem wśród chłopów, a w międzyczasie w kościele i przy kościele buduje, poprawia, poszerza, urządza misje, znowu buduje, znowu poprawia, remontuje, pamiętając zawsze o **obowiązku wszechstronnego opiekowania się parafianami.** Wszystko co robi, robi z myślą o chłopach. Z tą również myślą prowadzi walkę z ludowcami, zakłada Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i żeńskiej i Stronnictwo Narodowe.

Widzimy wyraźnie patronacką opiekę nad wsią i lojalny rozwój tej wsi według życzeń „pasterza”. Dzieje okolic Poronina mierzone są kadencjami włodarzy - proboszczów. Praca Proroka jest dziełem „kronikarza parafialnego”, apologety społecznego życia wsi, zamkniętej wyłącznie w strukturze parafialnej. Drukujemy ją dla pokazania czytelnikowi, jak wąski był zakres problematyki społecznej w tej strukturze, jak skostniały w stosunku do historycznych przemian i potrzeb warstwy chłopskiej.

SZÓSTY proboszcz Poronina, ks. Franciszek Nycz, urodził się w Pisarzowicach koło Bielska, Szkoły normalne ukończył w Białej, a gimnazjum w Wadowicach i w Krakowie (św. Jacka). Teologię odbył w Krakowie, gdzie otrzymał święcenia w roku 1888. Po siedmiu latach wikariuszowania kolejno w Nowym Targu, w Poroninie i w Myślenicach powraca do Poronina na probostwo i zjawia się przy pracy dnia 2.IV. 1895 r.

Zaciśnięte wąskie usta, wysunięta nieco dolna szczęka, poprzeczna zmarszczka nad nosem znamionowały w nim człowieka wysokiej energii i uporu w przeprowadzaniu swych zamierzeń. Dołączająca się do tych cech wyglądu nerwowość i szybkość działania zapowiadały, że proboszcz będzie człowiekiem czynu.

Tak też było. Pierwsze pięć lat jego pracy proboszczowskiej pokazują czyn za czynem. Innemu potrzeba by było znacznie więcej czasu do zdziałania tego, co on zdziałał wnet.

Remont plebanii był jego pierwszym czynem. Wybudowane przez poprzednika dwie izdebki na piętrze zastąpił nowymi drewnianymi i dołączył do nich werandę. Odnowił kancelarię parafialną na parterze. Zniósł ścianę w sąsiadujących dwóch pokojach i zrobił salę, konieczną na odpustowe przyjęcia dla duchowieństwa oraz na zebrania różnych stowarzyszeń kościelnych, które zamierzał wprowadzić dla podniesienia życia parafialnego.

W rok po objęciu probostwa dokazał ks. Nycz jeszcze jednego czynu — oto wybudował nowe skrzydło budynków gospodarskich, ciągnące się od plebanii do dawnych budynków. Stare budynki, mieszczące w sobie stodołę i spichlerz zostały postawione na nowo. W kościele przerobiono zupełnie dwa ołtarze: św. Michała i Matki Boskiej Różańcowej. Rzeźby do ołtarza robił Brzega z Zakopanego. Sprawiono ławki pod chór i nowy kielich.



PORONIN. — Kościół i kółko.

W tym samym roku 1898 zdołał ks. Nycz zakupić budynek naprzeciw kościoła po drugiej stronie drogi. Na kupno to miał wielką ochotę karczmarz żyd. Proboszcz spostrzegł, że istnienie karczmy nawprost kościoła jest rzeczą nadzwyczaj niestosowną. Ponieważ budynek kosztował 2 tysiące ryńskich, przekraczało to możliwości parafii. Stąd długo i kilkakrotnie zabiegał, żeby budynek zakupiła gmina. Do kupna ze strony gminy nie doszło. Więc proboszcz zdobył się na czyn sam, wkładając własne fundusze. W miejsce zakupionego domu starego, postawił proboszcz nowy, piętrowy budynek. Na dole założył sklep Kółka Rolniczego, a na górze uruchomił czytelnię katolicką i bibliotekę parafialną z własnych dziełek. Społeczny czyn dużej miary stworzyło zakupienie budynku. Mimo to stało się to zarzewiem kłopotu dla kościoła. Kościół bowiem utracił jedynie dogodne miejsce na dom parafialny. Krok gminy ociągającej się z kupnem pokutuje do dziś w Poroninie, gmina nie posiada własnego lokalu, który mogła wówczas łatwo nabyć.

Z początkiem października odbyły się w Poroninie misje, które prowadzili księża misjonarze z Krakowa z Kleparza. Pod koniec misji, drugich w Poroninie, odbyło się poświęcenie Kółka Rolniczego, którego dokonał ks. prałat Władysław Chodkowski, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Założono również kanonicznie Bractwo Różańcowe; erekcji dokonał sprowadzony O. Piaszczyca, dominikanin. Było to już drugie stowarzyszenie, założone przez proboszcza na terenie parafii. Dwa lata temu w roku 1896, założył Trzeci Zakon i kupił dla niego obraz św. Franciszka Serafickiego.

W roku 1898 rozpoczęto budowę kolei żelaznej na linii Chabówka — Zakopane, a ukończono ją w następnym roku. Posiada to doniosłe znaczenie dla Podhala i Zakopanego. Przy budowie kolei odgrywały rolę dwa motywy nieracjonalne, których skutki pokutują na trasie dotąd. Oto w myśl ówczesnych pojęć inżynierowie zwracali uwagę przy wytyczaniu linii na momenty piękna i prowadzili kolej w niekończących się zakrętach. Powtóre zbytnią uwagę przywiązywano do własności prywatnej, stąd gdy się chłop uparł i swego kawałka roli nie odprzedał pod kolej, musiano zmieniać trasę. Panowie byli zdania, że kolej wywrze zły skutek zdrowotny wobec zakopcenia i zaczadzenia, a chłopi uciekali początkowo zabobonnie przed pierwszymi lokomotywami.

W roku 1899 odnowiono chór i ambonę, wymalowano kościół, sprawiono drugi srebrny kielich, lichtarze, ornat, trzy alby, ampułki, dzwonki, tuwalnię.

W tym roku odbyła się również wizytacja kanoniczna dnia 14 września. Przeprowadził ją książę biskup Jan Kozielsko-Puzyna. Podczas wizytacji wpłynęła do biskupa skarga ze strony ludowców, że proboszcz miesza się do polityki. Jednym z przywódców demonstracji był Franciszek Gut „Mostowy”, którego majątek uległ z czasem konfiskacie za podpisany weksel na sumę 80 tysięcy ryńskich. Antagonizm pomiędzy tą rodziną a każdorazowym proboszczem przetrwał długie lata, przybierając na sile lub opadając.

W tych warunkach następuje przełom wieków XIX i XX. Ludzie w pogłoskach przywiązywali do cyfr wagę, przepowiadając koniec świata.

Parafia zakopiańska postawiła na Giewoncie żelazny krzyż. W pracy parafialnej w Poroninie przełom wieków nie przynosi żadnej zmiany.

Nowością nowego wieku było to, że powstaje wśród parafian myśl o postawieniu nowego kościoła. Stary drewniany kościółek, aczkolwiek zabytkowy i oryginalny, nie odpowiadał już zadaniom, nie mógł pomieścić ludzi i był mimo ciągłych remontów zbyt prymitywny. Zaczęto zbierać nawet składki na ten cel. Myśl najzupełniej była słuszna i stanowi to wielką zasługę proboszcza, wykazując jego twórczego ducha, że pomyślał o tym podstawowym niedomaganiu parafii. Ale zarazem popełniono przy samych początkach zasadniczy błąd. Oto zamiast obracać składki na zakupienie materiału w miarę ich napływania, składki na nowy kościół ciągle obracano na remont starego. Najbliższe lata miały wykazać zgubne skutki takiej błędnej polityki finansowej.

Proboszcz Poronina pracuje dalej z niesłabnącym zapałem. W roku 1904 sprawia dwa nowe dzwony: największy „Adam”, nazwany został imieniem kolatora Adama Uznańskiego, który musiał walnie przyczynić się do jego zdobycia, oraz mniejszy „Franciszek”, nazwany został imieniem proboszcza.

W tym roku przypadła wielka posucha. Społeczna myśl proboszcza żywa w istniejącym Kółku Rolniczym odniosła w tych trudnych chwilach triumf. Sprowadzono 37 wagonów paszy dla bydła.

Akcja zakupu dzwonów przeciągnęła się i na rok następny, 1905. Przykład Poronina pociągnął okoliczne wsi należące do parafii, a proboszcz po doświadczeniu w kupnie mógł służyć zachętą i radą. Zakupiono dwa małe dzwony: jeden w Bystryku, wsi przyległej do Zębu, drugi w Murzasichlu, które do niedawna nosiło nazwę Mur Sichła jako dwie oddzielne osady. Dzwonami tymi dzwoniono na Anioł Pański, podczas prywatnych nabożeństw majowych prowadzonych przez tercjarzy, w czasie burzy i gdy ksiądz przyjeżdżał z parafii na wieś z wiatykiem.

Społeczny duch proboszcza zdziałał dla wsi jeszcze jedno dzieło, które jednak nie utrzymało się zbyt długo. W roku 1905 założył kasę Reiffeisena i stał na jej czele przez cztery lata. Powodem tego kroku była chęć uczciwego dopomożenia ludności do ożywienia życia gospodarczego. W wynajętym obok Kółka Rolniczego domu umieszczono instytucję i powieszono wielką tablicę.

W roku 1907 odstąpił proboszcz Kółko Rolnicze członkom za zwrotem włożonych w sprawę kosztów. Był to błąd, ponieważ dla kościoła plac i budynek były konieczne. Pozycję kościoła w tej sprawie broniło jedynie to, że kościół nabył sporo udziałów w instytucji i każdorazowy proboszcz był z tego tytułu przewodniczącym instytucji. Faktycznie jednak stracił kościół plac i budynek, które ze względu na ciasnotę parceli plebańsko-kościelnej stanowiły dla kościoła olbrzymią wartość jako zaczątek domu parafialnego.

W następnym roku pokryto plebanię blachą. W ten sposób za rządów ks. Nycza nie brakło ani jednego odcinka pracy parafialnej, do którego nie wniósłby swojego sporego wkładu.

W roku 1911 odbyły się w Poroninie drugie misje za rządów ks. Nycza, a trzecie od po

czątku istnienia parafii. Dawali je redemptoryści z Podgórza. Powodem misji były spore wymagania proboszcza odnośnie do poziomu moralnego i oporny postęp umoralnienia wsi. Proboszcz nie mógł sam zwalczyć pijaństwa, bitek, sporćw, chciwości i rozwiązłości. Chociaż nieraz gdy wybuchły przy pijatyce kłótnie, proboszcz wpadał z laską pomiędzy opitych i okładał na lewo i prawo zwaśnionych, rozpędzając karczmę. Był to krok ryzykowny ze względu na godność proboszcza i niepoczytalność pijanych. Ale proboszcz był pasjonatem, który się nie liczył z nikim i z niczym, jeżeli miał w jakiejś sprawie słuszność. To też był jedynym czynnikiem we wsi, którego się górale poważnie bali.

16 czerwca 1912 r. odbył w Poroninie wizytację kanoniczną książę biskup Adam Stefan Sapieha. Wizytacja ta napotkała na trudności ze strony austriackich władz, które pod pozorem szkarlatyny nie pozwoliły na wizytację i uległy tylko pod wpływem wielkiego nacisku biskupa. Ograniczono wiek bierzmowanych do lat 17 wzwyż. Bierzmowanych było 602. To też w następnym roku musiał bierzmowanie uzupełnić biskup Stanisław Nowak cyfrą 525.

W roku wizytacji zakupił proboszcz nowe organy do kościoła.

NA NIWIE USIŁOWAŃ SPOŁECZNYCH

Ks. Jakub Możdżeń urodził się w Rabie Wyżnej dnia 3. VIII. 1879 r. Po odbyciu normalnych studiów otrzymał święcenia kapłańskie w Krakowie w roku 1906, w dwudziestym siódmym roku życia. Pracę swoją kapłańską rozpoczął od rocznego wikariusztwa w Tyńcu. Potem przebył sześć lat jako wikariusz w Poroninie, za rządów poprzedniego proboszcza. Stąd odszedł na probostwo do Wiżnik. Jako 47-letni mężczyzna objął probostwo w Poroninie w dniu 1 marca 1926 roku.

Ponieważ wieża kościelna od czasów poprzednika nie była ukończona i kościół wewnątrz wymagał wiele jeszcze pracy, budowla bowiem chociaż czynna jako kościół nie była otynkowana — troską nowego proboszcza stało się dokończenie pracy poprzednika.

Usiłowania te przysłania jednak działalność społeczna, której domagały się okoliczności. Stan moralny parafii był zaniedbany. Barak pomieścił tylko część parafian w swym wnętrzu podczas długich lat stawiania nowego kościoła przez poprzednika. Siłą rzeczy słowo Boże nie docierało do wszystkich. Zepsucie powojenne przyłączyło się do obniżenia moralnego poziomu.

Toteż nowy proboszcz zaraz po swym przybyciu, już w jesieni, urządza misje, które dają kapucyni z Krakowa. Są to już czwarte misje w Poroninie. Pierwsze z nich odbyły się za Trybalskiego po poniżającym aresztowaniu ks. Michała Głowackiego i w czasach smutnej rzezi chłopskiej, drugie i trzecie za rządów ks. Nycza. Wszystkie dotychczasowe misje odbyły się w starym kościele, który po pracy szeregu proboszczów urządzony był gustownie i stanowił piękny zabytek drewniany. Obecnie misje, to pierwsze misje w nowym, murowanym kościele na miejscu spalonego starego.

Po misjach rozpoczęło się żywe organizowanie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, które objęło 200 chłopców i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej, które objęło 300 dziewcząt. Podzielono te stowarzyszenia na osiem zastępów, objeżdżając po wsiach co niedzielę zastępy. Wyjazd na Ząb do filialnego kościółka w każdą niedzielę był też sporym wysiłkiem. Stąd proboszcz usilnie zabiega o to, by utrzymać u siebie dwóch wikariuszów, których zastał w Poroninie. Z pewnymi niedużymi przerwami udaje mu się to. Wikariusze mieszkają razem z nim na plebanii.

W dniach od 15 do 17 czerwca 1928 r. odbyła się wizytacja kanoniczna w Poroninie, którą przeprowadził ks. biskup Stanisław Ropond. Widoki pracy społecznej i słabe



Ks. Franciszek Nycz

zdrowie proboszcza musiały zadecydować, że drugiego wikariusza nie odebrano z Poronina.

Przez rok po wizytacji biskupiej osiąga proboszcz niezwykły rezultat swych społecznych usiłowań. Przeprowadza silną przeciwalkoholową agitację wśród parafian. Kazania, referaty, zebrania stowarzyszeń, zawiązywanie abstynenckich kółek były środkami w tej pracy. Przeprowadzono atak na Radę Gminną, która z końcem kwietnia 1929 r. uchwaliła plebiscyt. Termin plebiscytu ustalono na dzień 20 maja 1929 r. Plebiscyt oparty był na ustawie z dnia 23. IV. 1920 r. o ograniczeniach w napojach alkoholowych.

Odbywały się publiczne przyrzeczenia w kościele, ślubowania, nacisk w ramach konfesjonałów. W dzień plebiscytu przystąpiło do głosowania 80 proc. uprawnionych i wszystkie głosy padły za zniesieniem szynków. Wyniki głosowania przedstawiono władzom i starano się na wszelkie sposoby, by władze państwowe uznały fakt głosowania i zamknęły szynki przez Izbę Skarbową.

Starania odniosły chwilowy skutek. Oto w dniu 31.XII. 1929 r. komisarz Wierzbicki zamknął szynki o godzinie 20. Fakt głosowania wywarł wpływ i na okolicę. Głosowanie podobnie jak w Poroninie odbyło się w Bukowinie i w Czarnym Dunajcu.

W roku 1931 zaproszono proboszcza jako niecodziennego działacza abstynenckiego na ogólnopolski kongres przeciwalkoholowy w Wilnie. Tam wygłosił odczyt na temat przeprowadzonego plebiscytu w Poroninie.

Wnet proboszcz doczekał się zupełnej ruiny swych usiłowań. Rząd zmienił ustawę przeciwalkoholową. Pozwolono na otwarcie barów, w których wolno było sprzedawać alkohol w naczyniach zamkniętych. Bary przemieniły się w zamaskowane — początkowo, a potem w jawne szynki. Nie pomógł nic protest przeciwko temu, podpisany przez 3 tysiące osób. Proboszcz musiał powrócić na stare tory pracy, krzewić Bractwo Wstrzemięźliwości, zapoczątkowane przed blisko sto lat temu przez Trybalskiego.

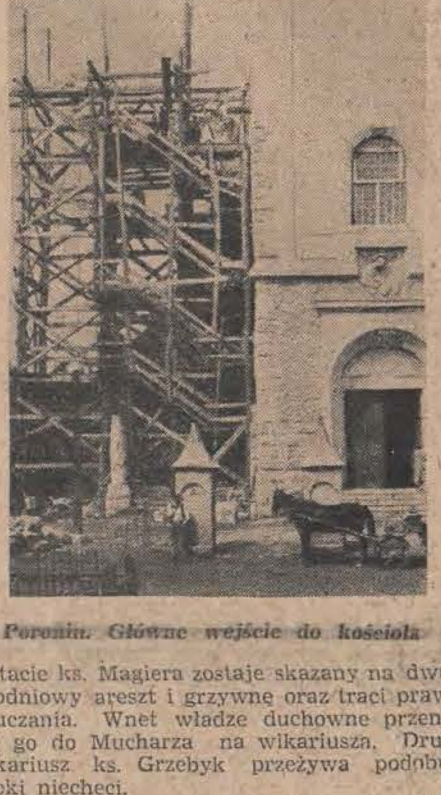
Proboszcz jeszcze za swego życia patrzył na zupełne rozchwianie się swego abstynenckiego dzieła, gdy społeczeństwo i zarząd gminy na czele rozpiły się do ostateczności podczas okupacji niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej.

Drugie dzieło o podstawach społecznych, katolickie stowarzyszenia, miały tylko nieco więcej szczęścia. Dzięki uporowi jednostki, nauczycielki rodem z Suchego, Antoniny Tatarówny, która miała brata księdzem zakonnym, powstał w Suchem „Dom Orłów". Dom ten służył celom wypoczynkowym i rekolekcyjnym dla młodzieży z Akcji Katolickiej, wymienioną nauczycielka postawiła dom prawie wyłącznie z własnych funduszów i przekazała go na cel stowarzyszeń.

Stowarzyszenia młodzieżowe katolickie zostały rozwiązane podczas okupacji niemieckiej i nie zdołały powrócić do życia podczas rządu ludowego po drugiej wojnie światowej. Nie przydały się na nic poświęcone sztandary przez biskupa, które skrzętnie ukryto przed zaborcą.

Księża parafialni wzięli również spory udział w pracach Związku Podhalan. Jest to organizacja różna od Związku Góralskiego, którego prezes, Wacław Krzeptowski, odegrał podczas okupacji niemieckiej separatystyczną rolę, niechlubną dla kraju i Podhala. Związek Podhalan miał siedzibę w Krakowie. 15 sierpnia 1930 r. zorganizował on przy współdziałaniu duchowieństwa wystawę regionalną ze wszystkich dziedzin życia i pracy parafian. Silnie rozwija się w tym czasie kilimkarstwo, rzeźbiarstwo i hodowla owiec.

Społeczna praca proboszcza trafiła również na pole polityczne i tu zjawiły się niepotrzebne a niemiłe zaognienia. Oto w Poroninie rozwinęło się silnie Stronnictwo Narodowe, które stało w jawnej opozycji do rządu Piłsudskiego. W roku 1935 powstaje w szkole powszechnej zatarg pomiędzy kierownikiem Klamutem a katechetą Magiera. Początkowo kierownictwo powoduje dochodzenia o kary cielesne. Sprawę umorzono. Z chwilą śmierci Piłsudskiego zatarg zaognia się i przybiera wyraźne oblicze. Ksiądz katecheta wyraził się dość sceptycznie na temat płaczu i lamentu dzieci po śmierci marszałka. Nastały badania przez starostwo i kuratorium. W re-



Poronin. Główne wejście do kościoła

zultacie ks. Magiera zostaje skazany na dwutygodniowy areszt i grzywnę oraz traci prawo nauczania. Wnet władze duchowne przenoszą go do Mucharza na wikariusza. Drugi wikariusz ks. Grzebyk przeżywa podobne kroki niechęci.

Wypadki te przypominają czasy ks. Głowackiego, aczkolwiek podłoże i działalność zasadniczo jest różna.

Cała społeczna działalność proboszcza w rezultatach spełza na niczym. Nie zdołała postawić ani jednego dzieła trwałego, w rodzaju szkoły parafialnej za Roszka lub Kółka Rolniczego za Nycza.

Szczęśliwszą okazała się myśl uporządkowania prawa własności po parafialnej szkole. Proboszcz ocenił trafnie, że jedynie postawienie szkoły rozwiąże trudności, które nagromadziły dziesiątki lat. Poparł więc całą siłą myśl, by postawić nową szkołę. Zachęcał i zwoływał gazdów do odstąpienia parceli pod szkołę. Władze szkolne nie upierały się już, by odzyskać stary budynek i tu pomieścić szkołę. Oceniono, że szkoła w tym miejscu z wielu powodów nie posiada swej odpowiedniej przestrzeni.

Obrano parcelę na brzyzku Grapy Galicowej, gdzie ongiś stanąć miał nowy, murowany kościół wedle marzeń poprzedniego proboszcza ks. Nycza. Wówczas marzeniom oparli się mieszkańcy Zębu i zagrozili odmówieniem składek. Ks. Nycz zbyt łatwo uległ groźbom i trudnościom ze strony właścicieli. Dzisiaj wobec szkoły, która potrzebowała znacznie mniej przestrzeni niż kościół, doprowadzono do ugody i wykupu parceli. Dwupiętrowa szkoła murowana znalazła się na wzgórzu, w najpiękniejszym miejscu Poronina i tworzy bezsprzecznie poza kościołem najpiękniejszy budynek miejscowości.

W dniu 27 czerwca 1932 r. odbył się publiczny przetarg na budynek starej szkoły. Plac był bezsporną własnością kościoła. Kościół kupił budynek szkolny za cenę 5 tysięcy złotych. W ten sposób została zwrócona subwencja Wydziału Krajowego ze Lwowa w wysokości 300 ryńskich, zaciągnięta za rządów ks. Roszka. Stary właściciel, kościół, powrócił do swej własności.

Najkorzystniejszym, chociaż tylko przeróbkowym czynem ks. Możdżenia było stworzenie w dawnej szkole domu parafialnego. Przez wybicie dwóch ścian i postawienie sceny uzyskano dużą salę do przedstawień, imprez i większych zebrań. Jest to jedyna sala społeczna Poronina wyzyskiwana przez wszystkie społeczne organizacje. Ujemną jej stroną jest to, że nie posiada ogrzewania oraz to, że jest za niska: wysokość jej nie przekracza normalnych wiejskich mieszkań.

W ostatnich czasach gmina zamierza zbudować salę społeczną, której Poroninowi brak. Zamierzenia te mogą jednak pozostać jeszcze na długie lata w sferze ideałów.

Józef Prorok.

Listy polityczne

„MIASTU I ŚWIATU..."

Drogi Kolego!

Zacznij o czymkolwiek mówić z pierwszym z brzegu czynnym katolikiem — skończysz na papieżu. Oto wydarzenie polityczne z najświeższą datą stempla pocztowego. Jeden z moich kolegów, aktywny działacz młodzieżowych organizacyj, wyznał, że choć jest na ogół politycznie „zblazowany", to list papieski wywarł na niego wielkie wrażenie. My wszyscy, którzy za młodu nabyliśmy wiele doświadczeń społecznych i politycznych, często wobec ważnych nawet wypadków jesteśmy zobojętniali i otępieni. Ale list papieski — to wspaniała lektura polityczna!

Czytujesz prasę katolicką? Początkowo nie wiedzieli co powiedzieć. Czekali. Może fałsz? Ale list papieski pozostał w jedynym wydaniu tygodnika „Odra". Żadne z pism katolickich nie wydrukowało go. Po oczekiwaniach — podniosły się pierwsze głosy szczerego oburzenia w „Dziś i jutro" i w „Głosie Powszechnym". Oczywiście próbowano również usprawiedliwiać stanowisko papieskie, ale argumenty były — pożal się Boże! — błahe i nieprzekonywujące. Od tych wystąpień minęło nieco czasu... Obecnie ton katolickich artykułów staje się napastliwy... (oczywiście) w stosunku do rządu polskiego, który — jak twierdzi „Tygodnik Warszawski" — rzekomo jest winien temu, że papież jest źle o sprawach Ziem Odzyskanych poinformowany. (Musimy tym lepiej urządzić tegoroczną wystawę wrocławską!). W epoce radia, telegramu, serwisu — bardzo to dziwne tłumaczenia. Ale „Tygodnik Warszawski" kompromituje się zaraz opodal, gdy — z dobrą wiarą pisze, że „Polska na terenie Watykanu znalazła się w pozycji gorszej od Niemiec pod względem obrony swych najżywotniejszych interesów". I Panu „Tygodnikowi Warszawskiemu" prawda się wymknęła.

Publicyści i redaktorzy przybrali pozę badaczy pisma świętego. Zajmują się szczegółikami i drobiażdżkami, a pomijają ogólny sens listu papieskiego. Ci sumienni znawcy i biegli interpretatorzy biorą tylko pod uwagę powyrywane słowa (casus „Heimat" — „Vaterland") i próbują zasugerować, że w sposób istotny zmieniają wymowę listu pasterskiego.

Niezależnie od tych kazuistycznych, scholastycznych rozróżnień, analfabeta polityczny, za jakiego się stale uważam, pozna, że list papieski nie jest prywatną wymianą myśli między księdzem X a biskupem Y, lecz wielkim wydarzeniem politycznym. Tym większym, że poza każdym wystąpieniem papieskim, niezależnie od jego charakteru, stoi autorytet religijno-moralny Głowy Kościoła. Powaga ta więc popiera sens polityczny orędzia. Prasa niemiecka podaje pełny tekst listu pasterskiego na pierwszych stronach gazet, pod triumfalnymi nagłówkami. Pomyśl, jeszcze niczyjej intymnej korespondencji tak podle nie wykorzystywano.

W gruncie rzeczy dla nas chyba list papieski nie wymaga wstępów i przypisków. Podtrzymuje i podsyca rewizjonizm niemiecki — to pewne! Ani słowa o zbrodniach, których dokonywali ci sami wierni niemieccy synowie Kościoła. Ani słowa groźby i napomnienia mądrego wychowawcy i nauczyciela. Natomiast papież rozczula się i ubolewa nad „bezprzykładnym postępowaniem w historii Europy. Tę stronę osądzi historia. Oczywiście obawiamy się (my — papież — przyp. nasz), że wyrok jej będzie surowy". A dalej styl jest jeszcze bardziej niejasny i dwuznaczny, jak w orzeczeniach wyroczni delfickiej. Czy mętność jest nieodłącznym atrybutem nieomylności? „Czyż jest to może nierealne, jeżeli my życzymy sobie i wyrażamy nadzieję, że wszyscy zainteresowani mogliby spokojnie rozpatrzyć to, co zostało dokonane i cofnąć w tej mierze, w jakiej da się to jeszcze cofnąć?" Więc papież życzy sobie i wyraża nadzieję... Mimo znaku zapytania sens tych opinii chyba nie podlega wątpliwości?

Pamiętasz jak oburzyły się pisma katolickie, gdy postępowa prasa działalność Piusa XII z okresu wojny nazwała filowłoską i filo-germańską. List papieski potwierdza tę charakterystykę. Orędzie w wigilię 1939, gdy papież mówił o istotnych potrzebach i słusznych żądaniach narodów i państw — było przecież także podnietą do rewizjonizmu. W tymże orędziu papież nazwał Mussoliniego — wodzem otoczonym chwałą. A w orędziu wigilijnym 1940 papież słów kilka poświęca bohaterstwu, z jakim broni się włoska ziemia, wówczas, gdy wojska włoskie dobijały Francję.

Po kilku artykułach o Papieżu „Tygodnik Powszechny" zapowiedział druk dokumentów w sprawie papieskiej i po dwóch felietonach — zamilkł.

Przerosty watykanizmu — nie raz w naszej historii wytępujące — uwidaczniają się dzisiaj w obronie zupełnie upadłej reduty: politycznego prestiżu enuncjacyj papieskich w oczach Polaków. Z kwestii granicznej bowiem papież zrobił atut w walce ideologicznej —przeciw demokracji ludowej.

Katolicy stale nie mogą się nauczyć, że każde działanie jest zarazem politycznym działaniem i nie umieją pogodzić się z faktem, że obóz katolicki jest politycznie niejednolity. Obok demokraty — endek, obok patrioty — szowinista narodowy.

Wiernopoddańcze posłuszeństwo wobec Watykanu i polska racja stanu znowu się starły. Ciekawi mnie, czy twoi koledzy-katolicy dostrzegają te dziejowe przeciwieństwa, czy nadal wzorem swoich starszych braci zabawiają się w tłumaczy pisma świętego? Czy rozumieją wielki konflikt polityczny między Watykanem i Polską, czy tylko dalej drobiazgowo interpretują tekst?

Jak zaobserwowałem, katolicy w prywatnym kółku — w długich rodaków rozmowach — przyznają, niezależnie od drobnych niuansów znaczeń, że list pasterski Piusa XII do biskupów niemieckich jest w ogólnej tendencji antypolski. Często jednak wzbraniają się przed określeniem swego stanowiska — publicznie, jakby uważali sprawę listu papieskiego za wyłącznie „katolicki interes". Nie rozumieją, że w opinii politycznej świata znaczą tylko orzeczenia — urbi et orbi, — za przykładem papieża.

TADEUSZ

Piotr Chmura

ZACZAROWANE KOŁO

(Almanach literacki Oddziału Wiejskiego ZZLP — 1948)

Kiedy w październiku 1945 r. powstał Oddział Wiejski Związku Zawodowego Literatów, „Kuźnicy" i „Odrodzenie" przestrzegały przed tego rodzaju instytucją, dopatrując się w niej tendencji separatystycznych wobec pisarstwa ogólno - narodowego.

Był to zarzut o tyle może przedwczesny, że dopiero na progu nowej Polski Ludowej pojawiła się wielka szansa na rozwiązanie zagmatwanej bardzo sprawy „literatury ludowej". Pod tym terminem narosło historycznie wiele rzeczy.

A więc przede wszystkim: 1) od czasów romantyzmu pogłębiająca się legenda, że istota i zbawienie narodu leży pod siermięgą. I tą linia kultu miała swoją historię. Bywało i tak, że ona utrudniała (poza czynnikami społeczno ustrojowymi) włączenie dorobku i artystycznej tradycji ludowej do kultury narodowej i programu wychowawczego. Ta sprawa czekała rzeczywiście na rewolucję społeczną.

2) W terminie „literatura ludowa" również zogniskowało się wiele różnych i sprzecznych dążeń społeczno - kulturalnych. W tradycji praktycznej i badawczej ruchu regionalistycznego nagromadził się materiał, operujący elementami geograficznymi, etnograficznymi, etnologicznymi i wytworzyła się sugestia wychowawcza do poznawania go przez szerokie kręgi społeczeństwa. Wielkie muzeum eksponatów i tematów — otwierało czego sobie życzono — nowe pole eksploatacji dla literatury.

W tej tradycji („Głos", „Wisła", „Lud", „Wędrowiec") szwankowały kryteria historyczne, było ich po prostu brak. Dlatego konsekwencją społeczną sugestii, jaką wytwarzała ta tradycja musiał być konserwatyzm kulturalny. Można go jeszcze odczytać z rocznika „Ludu" wydanego w roku 1947. Ale i ta sugestia i ten konserwatyzm utrwaliły i przechowały w społeczeństwie przeświadczenie o wartościach kulturalnych, wytwarzanych przez lud wiejski i — co gorsze — takich, co z „ducha ludu", „psychiki wieśniaczej", z „istoty życia chłopskiego" pochodzą.

I ten zatem problem musiał w nowej Polsce doczekać się rozwiązania.

3) Literatura klasy społecznie upośledzonej budzi zawsze nadzieje na jej rewolucyjność. Bywało tak, że ona pierwsza ukazywała, protestacyjnie tragiczną rzeczywistość ciemiężonej warstwy, pokazywała równocześnie jej wartości, jej możliwości, jakie upoważniałyby wyzyskiwanych do lepszego losu i do zorganizowania tego nowego losu społecznie. Pokazywała wreszcie klasy panujące i wyzyskujące w świetle, w jakim one się nie oglądały i w jakim urobiona przez nie opinia publiczna dotąd ich nie znała.

Te wszystkie nadzieje słusznie można było wiązać z tzw. pisarzami ludowymi, do czasów nowej Polski zepchniętymi na peryferie, zdala od centrów kulturalnych.

4) Ale tu właśnie — słusznie przewidywano — sprawa nie będzie od razu jasna. Z góry można było założyć starcie się dwu nurtów. Jeden z nich musiał być konserwatywny. „Kulturę ludową", i „chłopskość" rozumieć statycznie i pozahistorycznie. Praktycznie znaczyło to, że nie tylko wskazywał palcem na minione formy kulturowe wsi (i w konsekwencji ustrojowe całego społeczeństwa), ale wykładał o nich (egzemplum: prof. Pigoń) i śpiewał o nich, jako poeta, przedstawiał, jako prozaik, w konwencjach literackich, kulturalnych i ideologicznych należących do minionych sytuacji społeczno - historycznych narodu i warstwy chłopskiej. Ta strona wzięła oczywiście monopol na „literaturę ludową" i „chłopskość", ale w składzie socjalnym swych zwolenników nie różniła się od przeciwstawnej jej grupy. I tu i tam pisarze byli rozmaitego pochodzenia: 1) starzy chłopi („samorodni" na pograniczu literatury ustnej i pisemnej), 2) młodzież chłopska — działacze terenowi, 3) inteligencja pochodzenia chłopskiego i 4) inteligencja pochodzenia ziemiańskiego, mieszczańskiego, robotniczego.

Rzecz w tym, że konserwatyzm to przeszłość, dlatego we wszystkich dyskusjach publicznych Oddziału Wiejskiego ZZLP tak łatwo było wywołać wrażenie, że pisarzem ludowym, trybunem ludu, jest ten, kto sięga do jego przeszłości, do tych objawów, które były. A któż jest ten, co głosi nowe, odmienne wzory życia społecznego wsi? Tego nie było w „kulturze ludowej" — to zatem nie jest chłopskie. A ci co głoszą — to nie pisarze chłopscy! Jeśli wziąć pod uwagę, a trzeba, zgodność składu socjologicznego obu grup, tzn. fakt, że obie składają się z przedstawicieli różnych środowisk i poziomów kulturalnych, wówczas dziwna zgodność ideologiczna tu i tam odsłoni nam dwie prawdy: 1) że nie pochodzenie chłopskie, nie „czucie" i „zasymilowanie się duchowe z ludem" było kryterium rozstrzygającym dla obu grup, ale 2) w grupie konserwatywnej — kryterium **techniki literackich albo przedawnionych historycznych, już albo co najmniej użytych w funkcji właściwej** stosunkom społecznym minionego **ustroju.**

Stąd ta zgodność kościelnego spółdzielcy starego Sobka z Hanzlówki z Bojarem, którego kultura literacka, świadomość społeczna nie sięgnęły poza Konopnicką (pomijam tu typowe przy niedojrzałości kulturalnej sroczce kolekcjonerstwo błyskotek stąd i zowąd, można obserwować to samo zjawisko przed pół wiekiem na Kurasiu) z Milczarkiem — Or-Otowym, Kubińcem, którego Norwid utwierdził w wierze w Witkiewicza, a ten w technice secesji tatrzańskiej, z Bińczakiem (od stron Nieckowych), z poetami z „Wsi Tworzącej", głoszących „samorodność", a pokazujących pod nią żałosną niewątpliwie sytuację niedouków (co nie było ich winą, stąd ten nieartykułowany bełkot o „siłach" i „tajemnicach" duszy chłopskiej.

Socjologicznie ten ostatni krzyk zapóźnienia u najmłodszych jest do wytłumaczenia. Jest to pokolenie — Bratnego, Zalewskiego, Piórkowskiego, w sytuacji historycznej, która daje miejsce na robotę i honory dla bardzo wielu. Głupi brak poprawnego gimnazjum w swoim czasie odbiera „batalionistom wsi tworzącej" szansę historyczną, jaką mają tamci i dlatego tym bardziej drą się o „samorodności" aby oryginalnością obronić się przed utonięciem w niepamięci... Ta zgodność sięga i do autentystów, bo choć u nich awangardowa technika ale w funkcji jakiej? W jednej... metafizyce... ludomańskiej? I ci też — spętani **rutyną** — musieli grzęznąć coraz głębiej w teoriach kulturowych, w programach społecznych, jakieby tworzyły pomyślne warunki na podtrzymanie uznania dla kołowrotka ich poezji, snującego (rutyna) nowe nici, a takie same nici.

Summa sumarum winien był powstać ośrodek, który by skupił (w pierwszym rzędzie pisarzy — **chłopskich ze względu na problem wsi**, bo już nie łudźmy się, że z „istoty swej", czy pochodzenia. Przefermentować tu mogłyby nie tylko zapóźnione techniki artystyczne, ale i to co w pisarstwo zawsze wchodzi — teorie kultury, ideologie społeczne, powstać mogła inicjatywa rozplanowania zakresów badań wsi, wzmóc się nacisk na opinię inteligencji (dorosłych i młodzieży), na katedry i ośrodki naukowe — w pierwszym wypadku szłoby o włączenie inteligencji w problematykę wsi, jako zagadnienie narodowe, w drugim — o wypełnienie pełnego planu rewizji wiedzy o wsi, z kolei o włączenie się pisarzy na nowych podstawach wiedzotwórczych do produkcji artystycznej i wychowawczej zarazem, a więc wychowującej do nowego rozumienia wsi i nowych sposobów (technika lieracka) jej zrozumienia.

Stało się, że powstał Oddział Wiejski ZZLP. Jeżeli on miał być tą pożądaną instytucją, musiałby dążyć do tego, aby stać się albo: organizacją pisarzy o programie literacko - społecznym wyraźnie i jasno określonym, albo oprzeć się o ośrodek badań, zdolny wyznaczać problematykę literatury chłopskiej w ramach narodowej.

Można się zgodzić, że choćby ze względu na trudności natury techniczno - organizacyjnej nie mógł stworzyć Oddział Wiejski grupy ideologicznej pisarzy.

Ale równocześnie trudno twierdzić, że nie było takiej grupy. Była i jest — tworzy ją front pisarzy „Wsi". I ona, nie Oddział, wyraża nowy etap organizacji twórczości i wychowania kulturowego tak dla tworzących kulturę przodowników życia wsi, jak inteligencji mieszczańskiej, która problem wsi musi zrewidować i osiągnąć w zakresie tej wielkiej sprawy narodowej nową wiedzę i ocenę.

„Wieś" rosła i rozwijała się w świadomym związku z narastającym życiem społeczno - kulturalnym i gospodarczym nowej Polski. Reforma rolna, szkolnictwo powszechne, średnie, wyższe, przemiany polityczne, organizacja kultury na wsi, dzieje ruchu ludowego... W ciągu kilku lat pisarze tygodnika „Wieś", najczęściej członkowie Oddziału nie jedną naprostowali i nie jedną oczyścili ścieżkę, z tych, co prowadzą literaturę chłopską i cały ruch ludowy w naród.

Ale Oddział Wiejski nie wykorzystał prac i kierunku „Wsi". Pozostaje do dzisiejszego dnia w pozycji wyjściowej. Wykazała to dyskusja — „Oddział Wiejski czy Sekcja ZZLP" przeprowadzona latem ubiegłego roku na łamach tyg. „Wieś" (36/47).

„Wydzieleni w cudaczny twór organizacyjny Oddziału pogłębiają separację chłopskiego pisarstwa od ogólno-narodowego" — pisał M. Grad.

Separacja ta znalazła już teraz trwały i wymowny dokument. Jest nim „Almanach Literacki Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Pol.". Jego wydawcy oznajmiają we wstępie: „Celem było dla nas skonfrontowanie dorobku współczesnej twórczości chłopskiej z nową rzeczywistością polską"...

Tymczasem czytelnik po zapoznaniu się z Almanachem konfrontuje go właśnie nie z nową, ale ze starą, przedwojenną, sięgającą ładnych sto lat wstecz rzeczywistością polską, kiedy pisarstwo chłopskie, jak zresztą cała wieś wegetowały poza nurtem narodowego życia.

W konfrontacji ze współczesnością Almanach daje powód tylko do odnowienia dyskusji w języku jednak (po trzech latach) bardziej kategorycznym: Quo usque tandem Catilina? I dokąd w ten **sam sposób dalej?** Przedmowa Almanachu wcale nie określa antologii, jak na to zasługuje jej zawartość, jako lamusu historycznych technik i poglądów. Nie zastrzega, że to nie 3-lecie, a stulecie. Jak więc możemy rozumieć obiecankę stałego wydawania Almanachu co rok? Co będzie w przyszłym roczniku? Znów eklektyzm wynikły z podstawowych założeń Oddziału, jako **związku towarzyskiego?** Każdy członek towarzystwa ze swoim kawałeczkiem? Znów, jeśli nie 100 to 50 lat w jednym roku? Znów muzeum, a w przedmowie zapewnienie, że to „uwypuklenie kulturotwórczego dynamizmu literatury chłopskiej"? Więc nawet nie antologia (różność w czasie, różność w zakresie) a świadoma szkoła wychowania do przeszłości — która dlatego „uwypuklenie kulturotwórczego dynamizmu" widzi w pominięciu publicystyki, „jako zbyt ściśle związanej doraźnymi potrzebami chwili bieżącej"?

Czy dopiero sto lat chroni przed zarzutem doraźności? Biedny Słowacki, jako mistrz szkoły romantycznej i on był publicystą, skoro tylko na trzydzieści lat zdzierżyła jego szkoła (1830—1863). Kasprowicz też i Leśmian, i Skamandryci, a o Przybosiu szkoda mówić, po prostu dziennikarz (1930—39 i 45—7).

A nam się wydawało i wydaje, że „ściśle związanie z doraźnymi potrzebami chwili bieżącej", to panie tego, nie tylko podstawa dla publicystyki ale i czarującej poezji. Publicystyka w głowy poetów, a poeci niech wówczas zaczynają, zobaczymy czy będą mogli po staremu. Znamy już takich, że nie.

Przyszły rocznik Almanachu winien stanowić zamknięcie trzyletniego rachunku sporów. Te dzieje trzeba przenieść do historii a zarazem pod przyszłość dać jasne podstawy i właśnie szersze od ściśle literackich, kulturologiczne. Dlatego proponujemy **Almanach publicystyki.** Będzie wreszcie **jasno** i wcale nawet literacko, acha, **dynamicznie-literacko!**

Lech Budrecki

P O E Z J A

Przerzucając poetycką część „Almanachu" czytelnik odnosi wrażenie, jakby ktoś, dla żartu chyba, umieścił obok siebie przedstawicieli różnych stylów poetyckich i wieku minionych okresów, skoro wiersze zebrane w Almanachu reprezentują — jak zapowiada wstęp — dorobek kilku ostatnich lat. Skąd więc tu przegląd wieku poezji polskiej od Pola do Przybosia? A napewno ustawiono tu obok siebie pisarzy różnych generacji: 70-latków, obok niepełnoletnich jeszcze debiutantów. A wiemy przecież, że starzy poeci kontynuują nieraz bardzo długo swoją dawną linię artystyczną, nie zbaczając z niej nawet wówczas, gdy coraz wyraźniej zalicza się ją już do historii (np. Staff, Leśmian). Raz poraz ogarnia nas ochota przeszeregowania wyboru, zupełnie innego rozlokowania spotykanych tu przez nas poetów. Kiedy sięgamy jednak po indeks nazwisk, po dane biograficzne ogarnia nas jeszcze większe zdziwienie. Okazuje się, że Piętak to ta sama generacja co i Bojar, a ich styl poetycki różni się przecież dziesiątkami lat. Nie mamy więc tu prawidłowego rozwoju tradycji poetyckich. Różnice między wzorcami estetycznymi nie biegną (tak jak to zazwyczaj się spotyka) wzdłuż generacji, czy też wzdłuż zespołów kilku generacji. Dwu poetów jednego rocznika: a jeden pisze „pod Przybosia", drugi „pod Pola", zjawisko naprawdę szczególne. Mamy tu socjologiczną już sytuację. Almanach to jakby opowieść o przechodzeniu literatury partykularnej w narodową, które odbywało się nie według kolejnego następstwa zjawisk, ale nierównymi skokami. Wyobraźmy sobie poezję, której żaden krytyk nie umieściłby w reprezentacyjnej antologii, której żaden historyk literatury w dziele swym nie uwzględnia, a która w dalszej linii rozwojowej wydała dzieła uważane za pozycje poważne, godne zastanowienia. Ale wyobraźmy sobie, że równocześnie z tymi wysoko cenionymi utworami równolegle do nich istnieją te bezwartościowe pomijane, zazwyczaj milczeniem. Oto i obraz „Almanachu". A jaka tego przyczyna? Czy inteligenckość Piętaka lub na odmianę ludowość jego spowodowała, że jest on jednym ze współczesnych poetów polskich? Skądże, to wynik zrównania się jego osiągnięć z nurtem współczesnej liryki. Gdyby ktoś zechciał uważnie przejrzeć dział poetycki almanachu stwierdziłby bez trudu, że mamy tu do czynienia z trzema typami wierszy: z tymi, dla których współczesność to 1) Lenartowicz, Pol, Konopnicka, 2) Młoda Polska, 3) Awangarda i próba wyjścia poza nią.

„W chwilach wytchnienia wśród pracy,
W tym miejskim gwarze i tłoku,
Wspominam Cię Żywieczczyzno,
Mych stron rodzinnych uroku".

Tak pisze Henryk Biłka („Wspomnienia z rodzinnej Żywieczczyzny"). Wszyscy wiemy, co przypominają nam te strofy. Wyrwano je jakby z „Pieśni o Ziemi naszej", tkwią nadal w pewnej ściśle określonej poetyce, która była aktualna w roku 1850. A teraz zatrzymajmy się nad obok zamieszczonym wierszem Bojara.

„Daleko marzące spojrzenie się topi
na wzburzonym wód Styru krysztale:
idę samotny wśród łąk krętą ścieżyną,
trawa w purpurze zachodu się pali",

Jest już „kryształ" i „purpura". Wiemy, kto patronował naszemu poecie. Jego wzorem mógł być (a z pewnością i był) Miriam albo Lange. Ten sam autor nuci również i pod Pola i Konopnicką i Młodożeńca.

„A u strumyka białe schody
a białych schodów anioł strzegł,
i gronostaje piją wodę
a gronostaje to jest śnieg
(„Sielanka śnieżna),

Tak pisze Ożóg. Na nim znać już doświadczenie awangardy i fantazjotwórstwa Czechowicza. On wchodzi już w krąg doświadczeń współczesnych polskich poetów. Podział, którego tu dokonałem przed chwilą wymagałby przy dalszych badaniach niewątpliwie specyfikacji.

Z jakich racji zaistniała taka sytuacja. Jest ona wynikiem nierównomiernych doświadczeń kulturalnych poetów pochodzenia chłopskiego, którzy w rezultacie różnią się między sobą przejętą tradycją literacką niesłychanie. Przedział między Piętakiem i Bińczakiem to przedział ten sam co pomiędzy Bińczakiem a Przybosiem, czy Miłoszem. Czy „Almanach" ukazał go, aby przekonać czytelnika o słuszności utrzymania tego przedziału, czy też stanowiąc zbiór nie poezji współczesnej (choć z lat 45—48), ale muzeum stulecia daje tym samym pierwsze sygnały **końca literatury partykularnej,** nieżyjącej tymi zjawiskami kulturalnymi, które dziś za reprezentatywne uważać musimy?

Zdzisław Skwarczyński

P R O Z A

GDYBY w Almanachu zechciano zgrupować prozaików podobnie jak posłów według rang, co po trosze przypomina grzędę z ptaszkami wyobrażoną na okładce — podział ten musiałby prawdopodobnie przebiegać zupełnie inaczej. Jest pewne, że odsłoniłby on przede wszystkim podstawową sprzeczność w postawie redakcji Almanachu, jeśli to tylko sprzeczność.

Jakże można twierdzić, że o uwypuklenie kulturotwórczego dynamizmu literatury chłopskiej chodziło w pierwszym rzędzie, skoro jednocześnie (i to niby „dlatego właśnie") pomija się np. polityczną publicystykę chłopską pod pozorem, że jest zbyt ściśle związana z doraźnymi potrzebami chwili bieżącej.

Przesadna troska o ogródek poezji samorodnej, o utrwalenie w druku tego, co nie przekroczyło najniższego progu konwencji literackiej, świadczy wyraźnie o odwróceniu hierarchii wartości i odpowiada jakby kryteriom stosowanym w literaturze inteligenckiej, gdzie często bardziej chodziło o to **jak** niż **co** się ma do powiedzenia. Tym tylko można tłumaczyć uznanie wyższości „mowy wiązanej" (lichej nawet jak to łatwo stwierdzić), nad dobrą publicystykę, na którą zdobyć się potrafili niejednokrotnie owi samorodni. Nie o publicystykę przecie tylko chodzi. Istotne jest tylko to, że mogła ona nadać publikacji Oddziału barwę czasu, w którym pisarze działali, pokazać jakie treści nurtowały pisarzy chłopskich na progu drugiej Niepodległości, co więcej, określić ich tytuły do udziału w kształtowaniu życia całej społeczności polskiej.

Mimo chęci nadania Almanachowi osobliwie akademickiego wyrazu nie licującego z prymitywem wielu utworów — i tak musiano zrezygnować wobec prozy z subtelnych podziałów i rang „artystowskich" na rzecz merytorycznych wartości, jakie ona wnosi. Nie uzewnętrzniło się to coprawda ilościowo, ale sam fakt, że pisarze z różnych pięter poetyckiej grzędy sąsiadują tu ze sobą — nie jest pozbawiony wymowy. Da się nawet powiedzieć, że doniosłość i żywotność pisarstwa chłopskiego reprezentuje lepiej w tym dziale Józef Pogan niż wysoko uplasowany na „literackiej grzędzie" Stanisław Czernik ze swą „Arkadią pod palmami". Brak w Almanachu Juliana Gałaja. Dosyć po macoszemu redakcja obeszła się z J. Poganem, T. Goździkiewiczem i J. Mortonem, których dorobek mógłby być nawet na rok 1946 lepiej reprezentowany, ale czyż i tak nie obfitszy będzie niż w poezji katalog nazwisk prozaików, którzy pewniejszą stopą niż poeci przekraczają opłotki ciasnego kręgu swojej klasy. Wymienieni autorzy tudzież: A. Kamieńska, A. Olcha, St. Gębala — to już cięższy kaliber przez problematykę, którą poruszają i przez swoje możliwości rozwoju.

I jeszcze jedna sprawa. To, co w obrębie poezji, a więc postawa artystowska redakcji, chroniło przed inwazją życia w literaturę — nawet formalnie nie mogło obowiązywać w obrębie prozy, nie mówiąc już o fałszywej

(Dokończenie na str. 12-ej)

Poznanie krajów demokracji ludowej

Wydaje się, że w naszych publikacjach za mało się mówi o krajach demokracji ludowej. Nie znamy doświadczeń Jugosławii, Bułgarii czy Rumunii. Więcej interesuje nas Zachód niż Wschód. Być może — słusznie. Musimy w niejednym nadrabiać osiągnięcia krajów Zachodnich. Niemniej wydaje się, że pomijanie doświadczeń krajów demokracji ludowej jest co najmniej lekkomyślne. Ich osiągnięcia i metody działania społecznego — choć w głównych zarysach podobne do naszych — są w niejednym szczególnie różne. Czy zapoznanie się z nimi nie przyniesie nam korzyści?

Tym bardziej np. nasze poznanie krajów zachodnich jest w zasadzie negatywne. Poznajemy np. stosunki panujące w prasie amerykańskiej, by je w ostateczności skrytykować. Badamy proces nacjonalizacji przemysłu w Wielkiej Brytanii, by stwierdzić jego niedociągnięcia i nie — demokratyczność. I w zasadzie — u nas — niemożliwe jest inne spojrzenie na kraje kapitalistyczne, znajdujące się w stanie destrukcji i upadku — pod władzą imperializmu.

Tymczasem rozwój państw demokratycznych ma charakter wysoce konstruktywny. Nasze spojrzenie jest i może być pozytywne.

Warto, by nasi pisarze, publicyści i odpowiednie ośrodki porozumiewania z zagranicą zajęły się poważniej i systematyczniej zagadnieniem zbliżenia społeczno - kulturalnego krajów demokracji ludowej.

K. S.

Kontemplacja ducha czy odbudowa?

Zbliża się okres wakacyjny. Niedługo dziesiątki tysięcy naszej młodzieży rozjedzie się na letnie obozy. Słusznie, chodzi tylko o to, aby obozy były należycie rozplanowane i spełniły określoną funkcję roboczą, bo przecież jest co robić w nowej Polsce (i po wojnie).

Wiadomo, że poszczególne organizacje młodzieżowe opracowały plany, określające czas, miejsce i rodzaj pracy dla urządzanych przez siebie obozów. Czy to jednak wystarczy?

Opowiadano mi nie dalej jak dziś, że grupa gimnazjalnych sodalisów odwiedziła swoich uniwersyteckich kolegów, którym zwierzyła się z następujących kłopotów: sodalisi chcieliby w czasie wakacji kontemplować ducha, co przecież nie jest wcale antydemokratyczne. Tymczasem Służba Polsce i marksizm w ogóle kladą człowiekowi łopatę do ręki i tłamszą swobodny rozwój sił duchowych, kosztem sił fizycznych. W końcu zapytano doświadczonych kolegów z uniwersytetu, czy znają jakiś sposób, na wykręcenie się od pracy fizycznej w czasie wakacji, aby można było swobodnie uprawiać kontemplację ducha.

Nie interesuje nas odpowiedź starszych sodalistów. Raczej sami postawimy jeszcze jedno pytanie: czy w ten sposób powstanie na nowo Warszawa, odbuduje się Wrocław, Gdańsk i Szczecin, 60.000 gospodarstw na przyczółkach wiślanych i ożywi się społecznie i kulturalnie nasza wieś?

P. P.

Matury, matury!

Na terenie całej Polski odbywają się egzaminy maturalne. Biorą w nich udział przedstawiciele partii politycznych, organizacji społecznych, prasy społeczno-literackiej — jako tak zwany czynnik społeczny.

Zadania czynnika społecznego jest znane. Nie znany natomiast jest przebieg przygotowania młodzieży do zagadnień życia współczesnego, to też egzaminy dają często nieoczekiwane wprost efekty.

Młodzież orientuje się niekiedy nawet bardzo dobrze w zagadnieniach marksizmu, zna z grubsza dzieje socjalizmu polskiego, potrafi od biedy wykazać mechanizm społecznego działania kapitalizmu. Jest natomiast bezradna wobec pytań z zakresu historii ruchu ludowego. Nazwisk Bojki, Stapińskiego, czy Stojałowskiego wogóle nie zna. Cóż mówić o znajomości choćby początków ruchu ludowego! Rozmawiałem niedawno z grupą uczennic-maturzystek. Ani jedna nie miała pojęcia co to jest agraryzm. Pokazały mi indeks tematów z zagadnień życia współczesnego, wymaganych przez wykładowcę do egzaminu dojrzałości. Na blisko 50 tematów, ani jeden nie odnosił się do zagadnień ruchu ludowego i spraw wsi.

Przyszli „dojrzali" ludzie powiedzieli mi, że grunt znać dzieje socjalizmu, poczytać Marksa i Engelsa i na wszystko odpowiadać w kolorze czerwonym. Inaczej się nie zda. Z dziejów i zadań ruchu ludowego nikt nie pyta — tak mówił sam profesor. To nie jest ważne.

Ośmielam się mieć inne zdanie niż pan profesor i twierdzić, że jest to jednak dla młodzieży ważne.

Przecież wieś i ruch ludowy rozwijały się aż do ostatniej wojny w tej samej strukturze społeczno - gospodarczej — w kapitalizmie. Związek tragicznej sytuacji małorolnego chłopa z kapitalizmem wykazał nie kto inny, ale właśnie Marks.

A dzisiejszy ruch ludowy i jego wielkie zadania przebudowy gospodarczej wsi, ożywienia jej kulturalnego to także nie ważne?

Chyba nie tylko ważne, ale i podstawowe.

P. P.

Nauczycielstwo w natarciu

Ostatnimi czasy miałem możność wziąć udział w nauczycielskiej konferencji rejonowej w jednej z gmin woj. lubelskiego. Wynikły tam cztery sprawy: 1 — stan materialny nauczycielstwa, 2 — społeczna funkcja nauczyciela, 3 — obraz szkoły w oczach chłopa i 4 — ważność warstwy robotniczej, a ważność warstw innych, np. inteligencji.

F A K T Y i Z D A N I A

Mówiono, że los nauczycielstwa wskutek niskiej płacy jest opłakany. Że nauczyciel może wpaść w czarną rozpacz, **porównując swoje uposażenie z uposażeniem innych osób, które intelektualnie na pewno im dorównać nie mogą,** że Siłaczki są tylko w książkach i filmach, a przecież nauczyciel w życiu społecznym znaczy tak bardzo dużo, tak żywy bierze w nim udział **i tak gruntownie już się przetworzył.** Z wsią jest jednak ciągle jeszcze źle i niczym nie może być usprawiedliwiony optymizm w jej ocenie, notowany w artykule Anny Kamieńskiej. Mówiono, że „społeczeństwo na wsi jest zbyt konserwatywne, by się wdrożyć w nowy rytm **upowszechnienia kultury** i korzystania ze szkół. Jeszcze stale ciąży na nim to powiedzenie, że nauka mu chleba nie da, że ojciec i matka do szkoły nie chodzili, a mimo to żyją. Można zaobserwować, że większość ludzi na **dźwięk dzwonka szkolnego doznaje lęku i ucieka przed likwidacją grzechu analfabetyzmu, a do czynu zrywa się na dźwięk muzyki.** Młodzież wiejska chciałaby szkołę uczącą zamienić na szkołę tańczącą. Poza tym mówi się obecnie hymny pochwalne na cześć robotnika. Że dzięki wytrwałej i ofiarnej pracy robotników dźwignęły się z gruzów fabryki, kopalnie, huty. Jest to wprawdzie słuszne, ale przecież warto by również wspomnieć o tych ludziach, którzy stawiają fundamenty — o inżynierach, urzędnikach, administracji, technikach, wychowawcach, którzy przygotowali grunt do odbudowy. Czyli „oddajmy Bogu, co jest boskie, a cesarzowi, co cesarskie".

Że stan materialny nauczycielstwa jest zły na to zgoda. Ale, że **stosunkowo** nie jest zły, to również jest faktem, tak, jak faktem jest, że los nauczycielstwa systematycznie się poprawiał i poprawia. A poza tym dlaczego to, mimo zapewnień o wewnętrznym przetworzeniu się, stosujemy stare normy płatnicze? Dlaczego to porównanie zarobków czynimy w wymiarze intelektualnego poziomu? Dlaczego to chłop, robotnik, rzemieślnik, milicjant, strażak, listonosz itp. muszą w panów projekcie mieć niższe zarobki? W XIX wieku cenzus naukowy uprawniał do głosowania przy wyborze posłów do parlamentu, zaś w XX (w Polsce do 1939 r.) decydował o prawie do lżejszego życia. Ale to było niesprawiedliwe. To przecież wyraźna gradacja na „chłopów i panów", na czarnoroboczych i białorękich. A nauczycielska krzywda w sprawie uposażenia przed wojną wynikała m. in. i z tej przyczyny, że przez „rządców" nauczycielstwo traktowane było jako grupa z pogranicza „chłopów i panów" i z tego, że ta grupa nie umiała ostro podziękować za łaskę i nie mierzyć swego stosunku do chłopów i robotników cenzusem szkoły średniej.

Z tym się wiąże społeczna funkcja nauczyciela. Nauczyciel bierze czynny udział w społecznym życiu wsi. Uczy, współpracuje, pomaga. To wszystko prawda, ale to wszystko mało. I nie chodzi tu wcale o liczbę godzin tej pracy, **o automatyczne wykonywanie zaleceń i życzeń inspektoratu szkolnego, o upowszechnianie kultury na wsi,** ale o **samorzutne, czynne działanie,** zmierzające do realizacji tego, o czym dziś tylko się mówi. **I nie upowszechnienie kultury** powinno być istotą działania nauczycielstwa, a **jej tworzenie.** Trzeba określić tę swoją funkcję społeczną wyraźnie.

I to, że młodzież wiejska chce w szkole tańczyć, a nie uczyć się jest zapewne prawdą, ale w tej sprawie trzeba coś robić. W jej krąg taneczny można się było spokojnie włączyć przed wojną, bo taki był kurs na chłopów. Wtedy można było tańczyć, śpiewać, inscenizować i cieszyć się samorodnością kultury ludowej, ale teraz są już upaństwowione fabryki, bomba atomowa, papieski list o niemieckiej krzywdzie i biskupie listy o młodzieży w Polsce. A poza tym Służba Polsce i zaplanowana przebudowa gospodarcza, społeczna i kulturalna, naszego kraju. I trzeba wierzyć w możliwość przemian i powodować je, bo w takiej właśnie funkcji chcemy widzieć polskie nauczycielstwo.

A że o robotnikach u nas najczęściej obecnie mowa? No, cóż... Faktycznie dzięki ich „ofiarnej i wytrwałej pracy dźwignęły się z gruzów fabryki, kopalnie, huty". W okresie odbudowy — ogromnej, gigantycznej, wszechstronnej odbudowy — o tych się mówi przede wszystkim, którzy w tej odbudowie przodują, którzy produkują. Gdyby robotnicy nie warci byli słów uznania — pensje urzędnicze i wszelkie inne byłyby równe pensjom z 1945 roku. Oni produkują w ramach współzawodnictwa, więc o nich się mówi. Tworzenie dóbr społeczno-kulturalnych też jest produkcja, choć może wtórną w stosunku do produkcji przemysłowej. Proszę bardzo, gdzie Wasz Pstrowski?

kp.

„Zły kierunek"

List zaczyna się tak: „Najgorszą moją bolączką jest to, że uczę się nie w tym kierunku, w którym pragnąłbym".

A później: „Ja jestem synem małorolnej wdowy (1 ha). Mam bardzo, ale to bardzo chęć do nauki i zdolności też niezłe. Chciałbym uczyć się za pedagoga, lecz niestety warunki materialne nie pozwalają mi na to. Matka (lat 58) nie jest zdolna do pracy. Ja, ucząc się, nie zarobię na utrzymanie i naukę. Ukończyłem 8 klas szkoły powszechnej, więc korepetycji udzielać jeszcze nie mogę. Obecnie chodzę do I klasy Gimnazjum Górniczego. Nauka i utrzymanie w tym Gimnazjum jest bezpłatne. Uczę się nawet dobrze (jestem „prymusem"), jednakże ciągle tylko myślę, wzdycham i nie mogę się pogodzić z losem że nie mogę iść do Gimnazjum Pedagogicznego lub Ogólnokształcącego. Ach! Ja bardzo chcę, ja muszę zostać pedagogiem-humanistą. I myślę, że gdybym został tylko nauczycielem małej, wiejskiej szkółki, to zaprowadziłbym w tej wsi wszystko wzorowo. Nie szczędziłbym wysiłku i ofiary i jak „Siłaczka" z samozaparciem się oddałbym się pracy społeczenj na wsi. Wieś! Ach, ta wieś! która tak potrzebuje rąk i głów do pracy społecznej".

Oto list dobrego chłopca. Smutny list. Los zmusza go do pracy w niewłaściwym rzekomo kierunku. Ciągnie go bowiem wieś. Chciałby się poświęcić. Chciałby tam uczyć, działać społecznie, wychowywać, przekształcać.

Znając tego chłopca cieszyłaby się pewnie z jego pragnień większość ludowców od Stojałowskiego począwszy, a na Pigoniu, Niećce i Jagle skończywszy. Staraliby się o stypendia, udzielali opieki. Tak, jak w ludomańskich czasach bywało. Zostałby nauczycielem, a może nawet księdzem Blizińskim. Miałoby to zapewne i swoje dobre strony, ale poco komplikować sprawę jeśli jest prosta?

Jest w tym młodym obywatelu piękny i cenny bardzo rys: chce pracować dla wsi, bardzo chce. Jak to chcenie urzeczywistnia? Oto szuka wzorów tej pracy. Jest nim nauczyciel w stylu „Siłaczki". I dlatego chce kończyć liceum pedagogiczne. Gimnazjum Górniczego, mimo, że jest bezpłatne i daje mu pełne utrzymanie — nie uznaje. Nie zrobi go ono bowiem (rzekomo) pożytecznym dla wsi. Chce uciekać od niego, mimo, że jest prymusem. Chce zanieść swój osobisty wysiłek i ofiarę, nie zauważając, że może (nie osobiście) dać wsi węgiel, maszyny, elektryczność, książki i zamiast jednego sto pięćdziesiąt Liskowów. Że **z pozycji górnika, czy inżyniera-górnika, z pozycji klasy robotniczej** może swój wysiłek i wynik przemnożyć przez wielocyfrową liczbę i przyczynić się do rozwoju wsi w znacznie większym stopniu, niż mogłoby to się stać w wypadku jego działalności nauczycielskiej.

Czyli jaki wniosek? Prosty — wieś i jej postęp, to nie tylko poświęcanie się w działaniu „twarzą w twarz", **ale pełna funkcjonalność i działanie pośrednie.** Humanizować można tak w zawodzie nauczycielskim, jak i inżyniera-górnika.

Boję się tylko kierunku dalszego rozwoju młodzieży mającej stosunek do problematyki społeczno-politycznej, wyrażającej się w zdaniu z wspomnianego listu: „Do organizacji żadnej nie należę, gdyż na terenie C. organizacje w zupełności nie spełniają swojego zadania. Wolę więc być bezpartyjnym i powiem, podobnie jak Edmund Osmańczyk: nie jestem żadnym: ...istą, czy ...owcem, jestem tylko Polakiem i chcę pracować dla dobra Demokratycznej Polski i dla Jej społeczeństwa".

Miły Kolego! To nie jest najmądrzejsze oświadczenie Osmańczyka. Wybierzcie sobie lepsze z jego repertuaru. Musicie to uczynić dlatego, że w wychowaniu, do którego chcecie się przysposobić, trzeba oddziaływać przez organizacje, przez instytucje, gdyż ta droga daje znacznie większe wyniki. W jednym tylko wypadku wolno Wam postępować według tej recepty, mianowicie wtedy, jeśli będziecie tak wielkim jak Osmańczyk. Wtedy już osobiście będziecie mieć cechy instytucji.

kp.

Nie morderca winien lecz zamordowany...

Kogo obciąża wina za to, że papież w okresie najcięższej akcji eksterminowania Polaków podczas wojny nie skorzystał ze swego autorytetu moralnego, że mocą tego autorytetu nie pokrzepił w nich wiary w człowieczeństwo? Naturalnie, mordowanych! Taką tezę wyznaje „Tygodnik Powszechny" zmuszony nareszcie do zajęcia stanowiska w sprawie listu papieskiego do biskupów niemieckich mimo, że pozornie polemizuje z tymi partiami listu, które mówią o niemieckości Ziem Odzyskanych, o „bezprzykładnym" wysiedlaniu 12 milionów Niemców itp. bzdurach.

Oto co pisze Tygodnik:

„Przytoczone szczegóły z listu papieskiego świadczą, że Ojciec św. był dotąd w sprawach Polski jednostronnie informowany. **Jest to nasza wina.** A przyczyna leży w dużej mierze w braku stosunków dyplomatycznych Polski ze Stolicą Apostolską. Jeśli tedy chcemy na przyszłość uniknąć podobnych wydarzeń, to konieczne jest dołożenie starań ze strony polskiej w kierunku poprawy stosunków z Watykanem".

Czytelnik przecie wątpi czy to jest najlepszy sposób rozwiązania trudności papieskich w uzyskiwaniu prawdziwych informacji. Zwłaszcza, że jak Tygodnik twierdzi list papieski do biskupów niemieckich jest poświęcony sprawom religijno-moralnym, a więc po co mieszać do tego brudną politykę.

A papieżowi czy nie wystarczyłyby w sprawach moralno-religijnych informacje Ducha św?

F. S.

W OSTATNIM NUMERZE 22 (152) z dnia 6 czerwca 1948 r.

P R O Z A

(Dokończenie ze str. 11)

tolerancji dla prymitywu, w którego głębiach może tryskać źródło prawdziwej poezji. Formalnie rzecz biorąc musiała proza Almanachu przechylić się zdecydowanie, jak cała współczesna proza polska ku prozie prawie użytkowej, właśnie prozie najmocniej związanej z doraźnymi potrzebami chwili bieżącej. Pamiętnik, reportaż, relacja z prawdziwego zdarzenia — to chyba najlepsze, najżywsze pozycje Almanachu.

Ale i tematyka świadczy o tym samym. Gdyby ułożyć katalog zagadnień wyrażających treść utworów można by dopiero należycie rozeznać się czym dysponuje literatura chłopska obecnie, w jakie sprawy wkracza i jakie są jej zasoby intelektualne, pasujące pisarzy na członków Z. L. P. P. Czy słusznie zrobiono włączając pisarzy o historycznym już dla historii chłopa znaczeniu? Mam tu na myśli W. Burka, W. Kowalskiego oraz J. Wiktora. Wyrządzono im krzywdę, że pokazano ich dawne osiągnięcia, które mówią o minionej sytuacji wsi, stąd sugestia, że są zapóźnieni w stosunku do młodych pisarzy.

Łatwo dostrzec z tego wszystkiego, co wyżej powiedziano że mimo uporządkowanych szeregów publikacja Oddziału Wiejskiego jest raczej **pospolitym ruszeniem pisarzy chłopskiego pochodzenia,** niż przeglądem **sił zmobilizowanych do nowych, leżących przed nimi osiągnięć.**

Zdzisław Skwarczyński

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—019320